

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, PARIS 9^e

CENA 0,80 F.
PRIX 7 F. B.

9 marca 1969
mars

Rok wydania XII Nr 10 (594)



JARMARK W NOWYM TARGU

NASZA OKŁADKA



Przez szereg lat po wojnie targowisko w Nowym Targu służyło jako krajowe centrum handlu „ciuchami”. Taka nazwa przyjęła się dla szykownej, choć nieraz tandetnej odzieży zachodniej czy amerykańskiej produkcji. Skąd się brały? Mówiąc bardzo szeroko — z nędzy. Ze starej podhalańskiej nędzy, która tysiące górali wypychała na wychodźstwo. A z emigracji przysyłał rodzinom w listach krwawo zapracowane dolary. Po wojnie zaś w przesyłkach przeważała odzież, łatwa do korzystnego spieniężenia w wyniszczonym Kraju. Dziś nowotarskie „ciuchy” to wspomnienie, Polska stała się eksporterem modnych ubrań. Przykładem — kożuszek, prezentowany przez panią na lewej stronie zdjęcia. Ale „modnie” ubierają się też góralskie konie, co widać na straganie pośrodku.

W NASTĘPNYM NUMERZE



Co godzinę z wieży kościoła Mariackiego na krakowskim rynku płynie hejnał, od setek lat co godzinę wygrywany na trąbce. Łączą się z nim liczne legendy: o tatarskim najeździe, o dwóch braciach-budowniczych wieży kościoła. Przypominały je pokrótce. Na zdjęciu zaś — na pierwszym planie odnowiona wieża starego krakowskiego ratusza, w której podziemi otwarto w zeszłym roku stylową kawiarnię, w głębi historyczny kościół.

LAUREAT
BYŁ W POLSCE

Konkurs na werbunek nowych prenumeratorów z ubiegłego roku został już dawno rozstrzygnięty, ale jego laureat p. LEOPOLD JELOCHA ze względów osobistych dopiero teraz mógł skorzystać z głównej nagrody — bezpłatnego przelotu Paryż-Warszawa. Był w styczniu i lutym, nie uległ grypie i po paru tygodniach wrócił do domu. Napiszemy o nim w następnym numerze.

KAŻDY — KTO POWIĘKSY RODZINĘ CZYTELNIKÓW „TYGODNIKA POLSKIEGO” zdobywając jednego lub więcej prenumeratorów, ma szansę zdobycia w losowaniu **pierwszej nagrody: SAMOLOTEM DO POLSKI!**

Werbujcie prenumeratorów „TYGODNIKA POLSKIEGO”

Czeka także na Was wiele innych cennych nagród, oraz miła satysfakcja z tego, że powiększy się nasza Rodzina Czytelników, nasze własne grono Przyjaciół.

!! PRZYPOMINAMY !!
KOLONIE LETNIE W KRAJU

Odloty dzieci na kolonie letnie w Kraju z okręgów konsularnych Paryż, Lille i Lyon nastąpią w pierwszych dniach lipca 1969 r. Przewidziane terminy powrotów w tych samych dniach miesiąca sierpnia.

Zgłoszenia pisemne należy nadsyłać do właściwych terytorialnie Konsulatów Generalnych PRL do dnia 31 marca 1969 r., dołączając zaadresowaną i ofrankowaną kopertę dla otrzymania dalszych informacji i potrzebnych formularzy.

Oto adresy Konsulatów Generalnych:

w Paryżu — 31, rue Jean Goujon — PARIS 8-ème

w Lille — 45, Boulevard Carnot — 59-LILLE

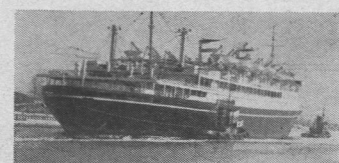
w Lyonie — 8, rue Tête d'Or — 69-LYON 6-ème

Przypominamy, że warunkiem przyjęcia dziecka jest jego polskie pochodzenie, wiek — co najmniej 12 lat i nieprzekroczenie w miesiącu lipcu 17 lat oraz uczęszczanie do szkół dziennych. Pierwszeństwo mają dzieci, które jeszcze nie były na koloniach w Kraju. Opłata kolonijna wraz z ubezpieczeniem dziecka wynosi 270 franków. Dalsze szczegóły na temat zapisów i wyjazdów na kolonie opublikowane będą w następnym numerze „Tygodnika Polskiego”.



W TYM NUMERZE coś ciekawego dla wszystkich

- Pożegnanie „Batorego” — zdjęcie obok i strona 14
- Polscy inżynierowie mórz i oceanów — strony 11, 12, 13
- Polonijny samochodowy rajd folkloru — strona 17
- Sprawa śmierci gen. Sikorskiego do dziś budzi spory Przypadek? Sabotaż? Piszemy o tym obok i na stronie 4



- O polskich pomnikach walki i męczeństwa w Kraju i w Europie mówi Janusz Wiczorek, dobrze znany Polonii — strona 5
- Dalszy ciąg „Diamentów i aligatorów” — strony 6 i 7
- Polskie talenty muzyczne nie tylko zawodowe — strona 9

Jest też dużo innych interesujących wiadomości. Na przykład: Co powiedziano o Wrocławiu w Calais? s. 8 ● Co nowego w Kraju? Cała s. 10 ● Co stało się dalej z bohaterem „Znojnego chleba”? s. 16 ● Co znakomity aktor i profesor Ludwik Sempoliński mówi o piensence? s. 18 ● Co Fernand Léger ofiarował Muzeum Narodowemu w Warszawie? s. 19 ● Czy choroby nowotworowe mają coś wspólnego z geografią? s. 19 ● Zaś list Józefa Grzybka, rady Pani Anny, porady Mecenasa — znajdziecie na stronach 19 i 20

W NASTĘPNYCH NUMERACH POLECAMY: ● Nowe spotkanie z „Tygodnikiem” ● Marzanna — ludowy zwyczaj wiosenny ● Kopalnia przyszłości ● Białowieża zimą ● Nowe ślady męczeństwa narodu.

Zdjęcie tygodnia PŁYŃ BARKO MOJA! POGODA SPRZYJA!!!

Jeśli to nie barka, lecz kajak, jeśli płynący nie pięką się w słońcu śródziemnomorskim lecz opatuleni są swetrami, jeśli to nie włoscy rybacy a krajowi turyści — to może rzeczywiście „pogoda sprzyja”? Przy Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym istnieje Klub Wodniaków, bardzo dumnych ze swych wyczynów i uważających się za lepszą kategorię turystów, niż jacyś tam piesi wycieczkowiec czy nawet rajdowicze. A w klubie tym, obok żeglarzy, rej wodzą także kajakowcy.

Po raz piąty kajakowcy organizują spływ zimowy z prądem wielkopolskiej rzeki Brdy, oczywiście wtedy tylko, gdy ma odcinki wolne od lodu. W tym roku było tego 60 kilometrów i to między innymi na szczególnie malowniczym odcinku obejmującym skraj prastarych Borów Tucholskich. A że udział w spływie wzięło tej zimy 70 kajakowców, znaczy to, że rozrywka przyjęła się. Mamy tylko nadzieję, że udział w spływie nie jest połączony z przymusem rzecznej kąpieli.

UNE VIVE
CORRESPONDANCE
ENTRE GUISENIERS
ET ELK

L'aimable article „W mini-bibliobusie książki dla wszystkich”, paru dans le numéro de Noël de „LA SEMAINE POLONAISE”, m'a amené un renouveau de correspondance avec quelques-uns de vos compatriotes qui vont jusqu'à m'envoyer des livres pour alimenter les rayons de mon bien modeste „mini-bibliobus”.

Cet afflux de courrier me pose d'ailleurs quelques problèmes de traduction, car la brave Madame Szymanski, ma voisine, ne peut que me donner une lecture approximative et orale.

J'ai en particulier une correspondance assez suivie avec mon collègue de Elk, et les élèves de ma classe ont eu la surprise et la joie de recevoir, individuellement, une carte postale, venue de Pologne, à la suite d'un petit travail collectif sur notre village que nous leur avions envoyé.

A ce que j'ai cru comprendre, ils ont élaboré le même travail que nous devrions recevoir bientôt. Pour le moment, chaque élève de Guiseniers répond par une carte postale à la carte qu'il a reçue de son correspondant lointain. Et je vous affirme que chacun éprouve une grande émotion.

Philippe DESMARES
Instituteur —
GUISENIERS

W ćwierć wieku po katastrofie gibraltarskiej

CZY BYLI SPRAWCY ZABÓJSTWA?

W powodzi fałszywych oskarżeń



D KILKU MIESIĘCY w prasie światowej toczy się dyskusja na temat śmierci gen. Władysława Sikorskiego w katastrofie lotniczej pod Gibraltarem 4 lipca 1943 r. Od tragedii owego dnia upłynęło już ćwierć wieku. Wśród Polaków zarówno na emigracji, jak i w Kraju, śmierć Sikorskiego w drodze powrotnej do Londynu z Bliskiego Wschodu nigdy nie obrosła patyną historii, jest stale żywa i tajemnicza. Asumpt do ponownej dyskusji w szerokich kołach międzynarodowych dała sztuka niemieckiego autora Rolfa Hochhutha pt. „Zołnierze”, w której autor wymienia jako inicjatora zabójstwa brytyjskiego premiera Winstona Churchilla. Również książka angielskiego historyka Davida Irvinga, poświęcona katastrofie gibraltarskiej, która w czasie zbiegła się z „Zołnierzami” Hochhutha, znalazła się wraz z nimi w ogniu dyskusji.

Treść sztuki, w której autor sformułował swe oskarżenie nie poparte dowodami, poruszyła koła polityczne Wielkiej Brytanii i innych krajów, wywołała ostrą reakcję rodziny Churchilla, skłoniła do zabrania głosu wdowę po zmarłym tragicznie generale, a ponadto doprowadziła do publicznych dyskusji przed kamerami telewizyjnymi z udziałem autorów i ludzi mających coś w tej sprawie do powiedzenia. Wyciągnięto z lamusa mniej czy więcej naocznych świadków, m. in. jedynego człowieka, który wyszedł z katastrofy gibraltarskiej z życiem, pilota samolotu Czecha Prchalę, wówczas lotnika RAF. Zapowiedziano kilka procesów o obrazę, a poza tym raz po raz pojawiają się artykuły, oświadczenia, wyjaśnienia, zaprzeczenia, przyczynki, uzupełnienia do przyczynków, w Anglii zaś doszło nawet do interpełacji kilku posłów w Izbie Gmin i brytyjski premier Wilson musiał na nią publicznie odpowiadać.

OŚWIADCZENIE PREMIERA WILSONA

Wilson oświadczył, że przejrzał urzędowe dokumenty śledztwa przeprowadzonego po katastrofie, którego pełne wyniki nie zostały nigdy ogłoszone — poza lakonicznym oficjalnym komunikatem — a które na udostępnienie badaczom muszą jeszcze czekać przez dalsze 24 lata (czyli łącznie lat 50), bo takie są brytyjskie przepisy archiwalne, jeżeli chodzi o ważne dokumenty państwowe, polityczne i wojskowe. Wilson stwierdził, że nie znalazł w tych aktach nic takiego, co pozwalałoby na przypuszczenie, że strona brytyjska ponosi jakąkolwiek winę za katastrofę, której powodem była śmierć emigracyjnego premiera Polski i jej ówczesnego naczelnego wodza.

Hochhuth opiera swe oskarżenie o udział Churchilla w spisku na życie Sikorskiego na jakimś tajemniczym dokumencie, którego poza nim nikt nie widział, a który podobno jest zdeponowany w jednym ze szwajcarskich banków i będzie ogłoszony, zgodnie z wolą właściciela, dopiero za lat 50. Niektórzy publicyści snują domysły, że jeżeli taki dokument w ogóle istnieje, to pochodzi on od kogoś z pracowników brytyjskiego wywiadu w tajemniczonego w sprawie, który — znając metody działania wywiadów — w obawie o swe życie woli go wcześniej nie ogłaszać.

Hochhuth zaś jest niemal kompletnym ignorantem historycznym, nie zna elementarnych dat i faktów związanych z dziejami drugiej wojny światowej i Polski, pisząc sztukę, której chciał nadać wszystkie cechy autentyzmu historycznego, nie pokusił się nawet, aby je sprawdzić i skonfronto-



General Władysław Sikorski i premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill przyjmują uroczystą defiladę oddziałów polskich sformowanych we Francji, które bohatersko walczyły pod Narwikiem

wać, co wcale nie znaczy, że nie mógł on rzeczywiście dotrzeć do jakiegoś tajemniczego dokumentu, który rzuci nieco światła na przyczynę katastrofy gibraltarskiej. Ale poważna część opinii nie wierzy w ogóle w istnienie takiego dokumentu, w Anglii wyraża ona przy tym swe wyraźne oburzenie. W NRF raczej chętniej by widziano zbrodnię Anglików, by na jej tle zmniejszyć własne ludobójcze czyny z okresu wojennego. Taki jest zresztą wydźwięk „Zołnierzy” i prawdopodobnie taki był cel polityczny autora, czemu w kilku miejscach sztuki daje on niedwuznaczny wyraz.

W MASIE DRUGORZĘDNYCH SZCZEGÓŁÓW

Inaczej ma się rzecz z Irvingiem. Jest to historyk. Do książki swej zgromadził mnóstwo faktów, dotarł do wielu źródeł, zebrał wiele szczegółów i szczegółików, oprócz tego najważniejszego, który odpowiedziałby na pytanie: czy katastrofa była zwykłym lotniczym wypadkiem, czy też zbrodnią z premedytacją? Jeżeli nie był to wypadek, automatycznie wyrasta drugie pytanie — kto katastrofę spowodował? Bo tych, którzy by się chętnie wyzbyli Sikorskiego, było wielu, co wcale nie znaczy, by każdy z nich był zdolny do tak zbrodniczej podłości.

Irving, nie mając najważniejszej nici, zaplątał się w masę innych, drugorzędnych, sensacyjnych niejednokrotnie i bardzo ciekawych szczegółów i powiązań, towarzyszących każdemu procesowi poszlakowemu, ale żadnego wyroku w swej publika-

cji nie ogłosił. Pozostawił sprawę otwartą. Ostatnio jednak oświadczył, że jego książka wyszła jednak bez końcowych wniosków, które napisał, ale które skreślił mu wydawca (!!!). Jego tezy pokrywają się z oskarżeniami Hochhutha — tzn., że Anglicy, a głównie Churchill — byli sprawcami katastrofy.

PERFIDIA

Obaj autorzy znajdują się w ogniu ostrego ostrzału polemicznego, w którym brak im głównego dowodu, wobec czego uciekają się do niewybrednych kontrataków. Tak np. Hochhuth utrzymuje, że w interesie Anglików leżało usunięcie Sikorskiego, ponieważ w pewnym momencie wywiad brytyjski stwierdził, że pozostaje on w kontaktach z niemiecką Abwehrą, a ponieważ był wtajemniczony w wiele spraw sprzymierzonych pierwszej ważności, istniała więc obawa, że dojdą one do wiadomości niemieckiej. Trudno o bardziej perfidny chwyt.

Bardzo wielu ludzi, może nawet zdecydowana większość nie ma w ogóle poglądu na sprawę. Przypuszcza nawet, że katastrofa była zbrodnią, ale że jej sprawców nikt nigdy nie będzie w stanie wskazać. Niejeden pamięta przecież, jak to opinia publiczna nie uwierzyła w 1916 r. w śmierć naczelnego wodza armii brytyjskiej w pierwszej wojnie światowej feldmarszałka Herberta Kitchenera, który w drodze do Rosji zatonął na krążowniku „Hamshire”, storpedowanym podobno przez niemiecką łódź podwodną.

Jeden z nekrologów po katastrofie gibraltarskiej

KURIER POLSKI Dodatek Bezplatny do nr 173

Tragiczny zgon Naczelnego Wodza
GENERAL SIKORSKI ZGINAŁ
 w katastrofie lotniczej

MINISTERSTWO LOTNICTWA KOMUNIKAT Z DZIENIA 4 LIPCA

GENERAL BRONI WŁADYSŁAW SIKORSKI NACZELNY WÓDZ POLSKICH SIŁ ZBRONNYCH I PREMIER RZĄDU RZECZYPOSPOLITEJ NIE ŻYJE

OZIS O GODZ. 2.00 JUŻ PO ZAKOŃCZENIU NUMERU OTRZYMALIMY KOMUNIKAT BRYTYJSKIEGO MINISTERSTWA LOTNICTWA Z TA WSTRZĄSAJĄCĄ WIŚCIĄ

TRAGICZNY KOMUNIKAT MINISTERSTWA LOTNICTWA OGLĄSZONY PRZEZ ROZGLĄSZENIE LONDYŃSKA BRZMI

MINISTERSTWO LOTNICTWA KOMUNIKAT Z DZIENIA 4 LIPCA, ŻE PREMIER RZĄDU POLSKIEGO I WÓDZ NACZELNY POLSKICH SIŁ ZBRONNYCH GENERAL BRONI WŁADYSŁAW SIKORSKI ZGINAŁ DZIS W NOCY W KATASTROFIE LOTNICZEJ. KATASTROFA WYDARZYŁA SIĘ NIEBŁOGO PO WYSTĄPOWANIU Z GIBRALTARU

WRAZ Z GENERALEM SIKORSKIM ŚMIERCI PONIEŚLI SZESZĄCZUBÓR NACZ. WÓDZA GENERAL BRONISŁAW KŁEMIECZ I PUŁKOWNIK CAZALEK. BRYTYJSKI OFICER ŁĄCZNIKOWY 1927 ROKU B. P. DZIAŁAŁ WSZYSTKIE DROBY TOWARZYSZĄCE GENERALOWI SIKORSKIEMU

JEDYNE PILOT ZDOŁAŁ SIĘ URATOWAĆ I CIĘŻKO RANNY PRZEBYWA W SZPITALU W GIBRALTARU

OZIS O GODZINIE 18.05 PREZYDENT R. P. WYGLOSIŁ PRZEZ RADIO LONDYŃSKIE PRZEMÓWNIENIE DO KRAJU I POLAKÓW NA OBCEJENIU

TRAGICZNA POSTAĆ W DZIEJACH POLSKI

Sikorski był postacią tragiczną. Na kluczowych zakrętach historia wysuwała go na czoło w sytuacjach dla Polski beznadziejnych i rozpaczliwych. I wtedy kochani rodacy, ambitni przywódcy polityczni i wojskowi rywale, rzucali mu grube kłody pod nogi. Po przybyciu do Francji w 1939 r. stanął wobec zorganizowanego zakonspirowanego frontu przeciw sobie nie tylko zwolenników ancien régime'u, ale i samych sprawców klęski wrześniowej, którzy robili wszystko, aby go do władzy nie dopuścić. A gdy ją już przejął i zaczął formować wojsko polskie na emigracji, wbijali w niego ze wszystkich stron nasyczone jadem szpile. Był premier przedwrześniowy Sławoj-Składkowski ze swymi internowanymi ministerialnymi kolegami w Rumunii skarżył się w październiku 1939 w beczelnym memoriale do prez. Raczkiewicza, że nowy rząd dotychczas nie zajął się Mościckim, byłymi ministrami i podsekretarzami stanu i urzędnikami, tak jakby to rzeczywistość była wtedy dla ówczesnej tragicznej sytuacji Polski i narodu jakaś ważna sprawa.

CZYTELNICZY PISZA

W OBRONIE ŚLĄSKA

Opisy walk na Śląsku w latach 1918—19, odbieranie ziem rdzennie polskich, niemczonych podczas wieloletniej niewoli, patriotyzm Polaków, których pozbawiano pracy i wyrzucano poza nawias społeczeństwa za to, że się poczuli do polskości, następnie ogrom krzywd, jakich doznawali nasi Rodacy w Kraju od niemieckiego okupanta w okresie ostatniej wojny — o tym nigdy nie wolno zapomnieć. I po tych wszystkich wydarzeniach stowarzyszenie, nazywające się „ziomkostwem Ślązaków” pozwala sobie na szkalowanie obecnych władz polskich, zarzucanie im utrudniania życia mniejszości narodowej niemieckiej na ziemiach polskich. Znacząc stosunki w Polsce, już to wydaje mi się nieprawdą. Do ziem tych Niemcy mają ciągle pretensje, pomimo tylu lat, które upłynęły od r. 1945, od zakończenia wojny i ustalenia granic. Uważam, że ci, którzy opuścili swe gospodarstwa w Polsce, nie powinni starać się teraz burzyć w niej porządku, ci zaś, którzy pozostali na miejscu, niech się podporządkują obowiązującym ustawom, a nie próbują przywracać polskich ziem Rzeszy Niemieckiej.

Mam brata, którego Niemcy zaraz na początku wojny, w r. 1939, wywieźli wraz z całą rodziną do Niemiec. Miał on własne gospodarstwo kilkunastomorgowe, pracy więc nie potrzebował szukać w Niemczech, miał kawatek chleba z uprawiania własnego kawałka ziemi. Okupant jednak zabrał mu tę ziemię, dał ją Niemcowi, a teraz na pewno ważana jest ona w Bonn za ziemię nie-

miecką, bo Niemiec na niej pracował?

Znam jeszcze dużo więcej osób, które były powywożone z Polski tylko dlatego, że Niemcom podobało się to, co posiadali. Chcieli wszystko powydziarać z rąk polskich, a dać Niemcom.

Nie wiem, czy dobrze rozumię, ale moim zdaniem, to trzeba sobie jasno powiedzieć: te ziemie są polskie i pozostaną. My, Polacy we Francji, tak to czujemy.

Łączę wyrazy szacunku dla polskiego pisma, jakim jest „Tygodnik”.

Stefania URBANIAK
95-GONESSE

Proszę o reportaż z Pantalowic w woj. rzeszowskim

Na noworocznym spotkaniu redakcyjnym wygrałem polską lalkę w stroju ludowym. Przyniosłem ją do domu dla wnuczki Kasi i radość z tego powodu była wielka. Od razu przypomniała jej się prababka w Polsce, którą widziała podczas ostatnich wakacji w Kraju i pamięta, że prababka też chodzi do dziś w chustec. Więc Kasia inaczej już nie mówiła na lalkę, tylko babcia Kubička, kłopot tylko był z wnuczką Stefanem, który też chciał mieć lalkę.

U nas teraz wielkie święto rodzinne. Moja siostra obchodziła złote gody w styczniu, w styczniu też obchodziła złote wesele prababci Kubička, a w lutym obchodzi srebrne wesele babcia Kubička. Ponieważ na tych uroczystościach nie mogliśmy być, w imieniu wnuczki Kasi i wnuczka Stefana oraz moim własnym, jako starego Czytelniczki „Tygodnika Polskiego”, bardzo proszę o reportaż w „Tygodniku” ze wsi Pantalowice, powiat Przeworsk, w woj. rzeszowskim i napiszcie jakie jest to srebrne wesele i jakie zlotte. A redaktor niech za nas je i pije i niech mu wyjdzie na zdrowie!

Stanisław HALYS
Athis-Mons

DO KOŃCA ŻYCIA BĘDĘ CZYTAĆ „TYGODNIK POLSKI”

Życząc dużego rozwoju „Tygodnika Polskiego” — pisma, z którego dowiadujemy się o naszym tu życiu we Francji i Belgii oraz o naszym uko-

chanym rodzinnym Kraju. Serdecznie Redakcji za tę piękną pracę dla nas, emigrantów, dziękuję. Do końca swego życia będę prenumerować i czytać „Tygodnik”. Zauważę tylko, że nie mogę dla „Tygodnika” zdobyć więcej prenumeratorów, ale w naszej okolicy nie ma prawie Rodaków.

A. MIKUCKI
Maçon

GARŚĆ ŻYCZEŃ I UWAG DLA „TYGODNIKA”

Będąc starym czytelnikiem „Tygodnika Polskiego”, gdyż od czasu jego założenia, pragnę złożyć Redakcji me serdeczne życzenia dalszej owocnej pracy w szerzeniu i utrwalaniu polskiej myśli i ducha wśród Polonii francuskiej. My, czytelnicy polskich czasopism na emigracji, szukamy w tejsze lekturze więzi, która nas duchowo łączy z naszymi polskimi tradycjami, z Polską. W tym kierunku idą me życzenia i by były one lepiej zmaterializowane, pragnę podzielić się z Redakcją kilkoma uwagami.

Swego czasu napisałem do „Tygodnika” list, w którym prosiłem, by „Tygodnik” jako jeden z duchowych przywódców Polonii francuskiej postarał się o wyświetlanie polskich filmów, szczególnie tych, ukazujących dzieje Polski. Ja, który zamieszkuje dość duże miasto w północnej Francji, gdzie wielu mieszka Polaków, nie miałem dotąd możliwości obejrzenia takich filmów, jak „Krzyżacy”, „Faraon”, „Popioły” i in. Słyszymy, że na zakończeniu są filmy „Lalka” oraz „Ogniem i mieczem” (film „Lalka” jest już ukończony, a także „Pan Wołodyjowski” — przyp. red.), lecz znowu nie będzie nam dane ich oglądać, jak tylko w wersji francuskiej, lub jakichś fragmentów w telewizji. Przecież można by zorganizować wyświetlanie filmów w polskiej wersji oryginalnej?

Przy tej okazji muszę podnieść sprzeciw przeciwko reklamowaniu niektórych filmów francuskich, pokazujących próżniacze życie, napady, uwożenie itp. Filmy te na pewno są intratne i u pewnej części młodzieży mają powodzenie, ale „Tygodnik Polski” naprawdę nie musi o nich pisać, gdyż głębszych wartości filmy te nie posiadają. Zamiast tego typu reportaży chętnie poznamy sylwetki cieka-

PROSZĘ O SPROSTOWANIE

W „Tygodniku Polskim” Nr. 5 z dnia 2 lutego br. zostało umieszczone krótkie sprawozdanie z odbytej gwiazdki w Willebroek, zorganizowanej staraniem Towarzystwa Przyjaźni Belgijsko-Polskiej, przy współpracy Konsulatu Polskiego w Antwerpii. Proszę wyjaśnić, że do zarządu Towarzystwa Belgijsko-Polskiego należą również dwaj aktywni zastępcy prezesa pp. Marcel Franckaerts i Kazimierz Raczak.

Marian KOPYDELSKI
Willebroek (Belgia)

wych Polaków — poetów, malarzy, pisarzy, szersze opisy przeżyć i wspomnienia emigrantów, opisy ich życia obecnie we Francji. Poza konkursem corocznym, mającym na celu znalezienie nowych prenumeratów pisma, warto by też zorganizować konkursy wspomnień czy relacji z pobytu w Kraju.

Niech więc moje uwagi będą myślą przewodnią dla pracy Redakcji „Tygodnika Polskiego”, gdyż wydaje mi się, że życie polonijne na emigracji zamiera, a szkoda. Miało ono piękne tradycje. Coraz rzadziej słychać polską mowę. Zwierciadłem zmian jest choćby „Kronika rodzinna” w „Tygodniku”, gdzie o tych, którzy od nas odeszli, to czytamy, że mieli na imię Bolesław, Jan, Stanisław, Katarzyna, zaś o tych, którzy przychodzą na świat — to mają na imię Anne-Marie, Jean-Jacques, Michel, czy Pierre. Proszę nadmienić, że moje dzieci mają na imię Michał, Wanda i Filip.

Józef Biela
Douai (Nord)

OD REDAKCJI: Za życzenia i uwagi serdecznie dziękujemy. Niestety, organizowania wyświetlania polskich filmów w wersji oryginalnej Redakcja „Tygodnika Polskiego” nie może się podjąć, gdyż przekracza to jej kompetencje i możliwości. Uwagę Pana przekazaliśmy do Stowarzyszenia „France-Pologne”, które właśnie tego typu wieczory na pewno w Douai zorganizuje. Redakcja natomiast ze swej strony weźmie pod uwagę Pański postulat niereklamowania filmów nie posiadających żadnych większych wartości poznawczych i moralnych. Postaramy się też znowu zorganizować nowy konkurs.

CZY BYLI SPRAWWCY ZABÓJSTWA?

STARE PORACHUNKI

Piłsudczycy mieli z Sikorskim zadawnione porachunki. Nawet po jego śmierci część z nich uważała, że się z Sikorskim nigdy nie rozliczyła. Sikorski uważał Piłsudskiego za ignorantę w dziedzinie wojskowej i politycznej. Prawie nie znany jest fakt, że w 1926 roku pod pseudonimem Karola Pomorskiego napisał i wydał broszurę pt. „Józef Piłsudski jako wódz i dziejopis”, w której rozłożył Piłsudskiego na obie łopatki, wysuwając przeciw niemu szereg poważnych zarzutów. Piłsudczycy wykupili broszurę z księgarń niemal bez reszty. Była na rynku politycznym i księgarskim białym krukiem. Autorstwo Sikorskiego było ściśle zakaspirowane, ujawnił je dopiero na krótko przed swą śmiercią w 1945 roku Wincenty Witos. Czy piłsudczycy wiedzieli, że broszurę napisał Sikorski? Jeżeli nie byli tego pewni, to w każdym razie posiadali go o to. Odgrywali się na nim do ostatnich dni życia, jak i po śmierci. Pobóg-Malinowski w swej historii Polski wydanej w Paryżu po wojnie broni Rydza-Smigłego za klęskę wrześniową, a na wielu stronach oskarża Sikorskiego za przegraną kampanię we Francji. Gdyby wierzyć temu, co różni Malinowscy, Pragierzy, Grabowscy i inni wypisywali i wypisują jeszcze o Sikorskim, można by sobie wyrobić pogląd, że był to jakiś kompletny polityczny i wojskowy debil. Żądny władzy, który nie znał języków, zawsze się mylił i zamiast ich wszystkich porobić ministrami, to szukał tylko kompromisowych rozwiązań, przez co w rzeczywistości błędził. W rzeczywistości istotną wartość Sikorskiego wyszła na jaw po jego śmierci, kiedy całe polityczne kierownictwo emigracji londyńskiej okazało się zespołem miernot i zer, bez wizji przyszłego świata, z którymi się absolutnie nikt nie liczył.

Sikorski był w Londynie jedynym człowiekiem, który był w stanie doprowadzić do porozumienia z ZSRR i obozem polskim w tym kraju, widział i rozumiał, że Europa powojenna nie będzie miała nic wspólnego z Europą powersalską, że nastąpią poważne przesunięcia i zmiany, starał się im wyjść naprzeciw i wyciągnąć z tego dla Polski odpowiednie korzyści. Rozumiał przede wszystkim, że polityka zagraniczna przyszłej Polski wobec Zwią-

zku Radzieckiego musi się radykalnie zmienić, o-przeć się o dobrosąsiedzkie stosunki i współdziałanie, jeżeli wrzesień nie ma się więcej powtórzyć. I za to go nienawidzono na emigracji polskiej w Anglii.

Ale dla Kraju, dla umęczonego pod okupacją hitlerowską narodu, Sikorski był autorytetem, wierzone w niego i dlatego jego śmierć była w oczach narodu ogólnopolską tragedią, po klęsce wrześniowej najwięcej, chociaż codziennie ginęły dziesiątki i setki tysięcy innych Polaków.

ARTYKUŁ LESZKA KIRKENA

W zaciętej obecnie polemice wokół śmierci Sikorskiego, sztuki Hochhutha i pracy Irvinga nie brak oczywiście udziału emigracji. Pragniemy tu zwrócić uwagę na artykuł Leszka Kirkena z Londynu zamieszczony w tamtejszej „Kronice” pt. „Kto zabił Sikorskiego?” Oczywiście, autor nie daje odpowiedzi, bo jej dać nie może. Ale sugeruje czytelnikowi odpowiedź pośrednio. Nie wskazuje co prawda imiennie palcem na sprawców, ale stwierdza: „Śmierć Sikorskiego ułatwiła życie zarówno Anglikom, jak i Amerykanom”, a w innym miejscu: „zarówno Churchill, jak i Roosevelt odetchnęli po katastrofie gibraltarskiej.” L. Kirken przytacza wiele znanych faktów historycznych, zreszcie zestawionych — jedne określa jako fałszywe, inne przyjmuje za prawdę. O Sikorskim mówi, że „żył w świecie fantazji” w sprawie ułożenia stosunków z Moskwą i w sprawie przyszłych granic Polski. Ale jeżeli Sikorski był fantazją, to należałoby się zapytać, kto w obozie londyńskim był realista? — Anders, który przekonywał, że Związek Radziecki lada chwila się zawił pod uderzeniami III Rzeszy. Sosnkowski, który był przeciw układowi z ZSRR, podobnie jak Raczkiwicz, czy też może samozwańczy przedstawiciele partii politycznych dawnej opozycji nie sobą nie reprezentujący?

Argumenty Kirkena, mające potwierdzać urojenia Sikorskiego, nie są ścisłe. Pisze on: „Sikorskiemu wydawało się, że utrzyma przedwojenny stan terytorialny (Polski) z dodatkiem Warmii i Mazur, łącznie z Królewem”.

Tymczasem Sikorski był pierwszym, który zrozumiał konieczność zmian terytorialnych. Ale myślał o odpowiednim ekwiwalencie na zachodzie — nad Odrą i Bałtykiem, a nie tylko o Warmii i Mazurach. Myślał o całej Opolszczyźnie, czego wyrazem był udział Arki Bozka — chłopca górnośląskiego z Raciborza w Radzie Narodowej już we Francji; myślał o pozostających do 1939 roku w granicach Rzeszy powiatach Wielkopolski, jak Trzcianka, Piła, Międzyrzec, o części ziem pomorskich, jak: Lębork, Złotów, Bytów, Wałcz, w których zamieszkiwali Polacy, które właśnie Bożek reprezentował; myślał o Gdańsku i Elblągu z przyległościami. W Kraju istniała konspiracja sięgająca na te ziemie, korzystająca z materialnej pomocy rządu emigracyjnego Sikorskiego. Wychodziły tzw. zielone broszury, poświęcone ziemiom postulowanym, jak się wówczas o terenach nadodrzańskich i nadbałtyckich mówiło. Oczywiście nie marzono o Szczecinie czy o odcinku granicznym na Nysie Łużyckiej. Ta koncepcja jest zasługą obozu polskiego w Moskwie.

FAŁSZYWA OCENA

Ma rację Kirken oskarżając Hochhutha o oszczerstwo, wytykając mu liczne błędy m. in. na temat Lwowa i Wrocławia, ale nie ma racji, gdy pisze, że „zagadnienie Wrocławia i Szczecina wyszło dopiero w Poczdamie w lipcu 1945”. Nie podobnego. W lipcu 1945 we Wrocławiu i Szczecinie urzędowali już Polacy i nie było siły, aby ich stamtąd wypchnąć, wychodziła polska prasa, odbywała się repatriacja Polaków ze Lwowa i z innych terenów za Sanem i Bugiem do stolicy nad Odrą i miast Dolnego Śląska, Pomorza i Ziemi Lubuskiej. A sprawa granicy na Odrze, Nysie i Bałtyku określona została przecież w ogólnym zarysie już po raz pierwszy w Jałcie. Oczywiście nie ma to już nic wspólnego z Sikorskim, ale jest dowodem, że nie tylko Hochhuth i Irving operują błędnymi argumentami.

W sumie artykuł „Kto zabił Sikorskiego?” będący właściwie charakterystyką Sikorskiego i próba oceny jego zasług, mimo szeregu słusznych sformułowań w odniesieniu do Hochhutha i Irvinga, daje fałszywą ocenę historycznej roli Władysława Sikorskiego w latach drugiej wojny światowej.

Jedynie w swoim rodzaju mapy

20 TYSIĘCY MIEJSC PAMIĘCI NARODOWEJ

Rozmowa z przewodniczącym Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa

MAPY WALK I CMENTARZY • REJESTRACJA W KAŻDYM POWIECIE • INFORMACJE OD TYSIĘCY ŚWIADKÓW • SZLAKI WYZWOLENIA POLSKI • W 32 KRAJACH 1533 Miejsca Polskiej PAMIĘCI NARODOWEJ

NA ŚCIANIE gabinetu wiszą trzy wielkie mapy. Uzupełniają się wzajemnie i są nie spotykanym w kartografii zjawiskiem ukazującym historię II wojny światowej w formie wizualnej, a więc łatwiejszej do odbioru i bardziej sugestywnej niż słowo pisane.

W pierwszym momencie, patrząc na mozaikę kolorowych znaków rozszanych na tych mapach, złowicie czuje się zagubiony. Ale wpatrzywszy się uważniej rozumie i widzi wszystko. Całą naszą historię zmagania z hitleryzmem. Naszą martyrologię i długoletnie boje — zakończone zwycięstwem.

I podświadomie czuje podziw dla ogromu pracy i nowatorskiej koncepcji tej niecodziennej kartografii.

— Uwaga słuszną — uśmiecha się przewodniczący Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, minister Janusz Wieczorek — bo częste i długie były nasze narady, zanim wytoniła się ostateczna koncepcja tych map. Problem był trudny do rozwiązania ze względu na jego rozmiar. Weźmy choćby ogrom zbrodni hitlerowskich popełnionych na naszych ziemiach. Był on tak wielki, że niepodobniestwem było go przedstawić na jednej mapie nawet najdrobniejszymi znakami. A gdzie historia walk stacjonarnych przez wojska regularne oraz oddziały partyzanckie... Stąd też wyłonila się koncepcja trzech map uzupełniających się wzajemnie.

Podchodzimy do ściany, na której wiszą mapy.

Pierwsza z nich — wyjaśnia min. J. Wieczorek — ukazuje hitlerowskie zbrodnie dokonane na terenach polskich w latach 1939—1945. Druga — walki zbrojne na naszych ziemiach w tych samych latach. Działania wojsk regularnych i walki partyzanckie. Trzecia mapa obrazuje udział Polaków na wszystkich frontach II wojny światowej, na lądzie, wodzie i w powietrzu.

Chcąc stworzyć ten wizualny dokument musiano właściwie zaczynać od podstaw. Od zrobienia ewidencji. Bo początkowo nie wiadomo było: ile jest tych miejsc historycznych do upamiętnienia. Nie było nawet pełnej ewidencji obozów koncentracyjnych, nie mówiąc już o ich filiach. Podobnie było z walkami z września 1939 r., gdzie — zwłaszcza pod koniec działań wojennych — niemal każdy polski oddział walczył na własną rękę. Trzeba było więc na początek uporządkować z całą potrzebą dokumentacji. A więc założyć kartotekę, zebrać dokumenty i fotografie, czyli pełny materiał o każdym miejscu. Dopiero na tej podstawie można było myśleć o dalszej pracy, o przedstawieniu całości w sposób wizualny.

Przeprowadzone prace ewidencyjne wykazały istnienie około 20.000 miejsc walki i męczeństwa. Była to praca

znużająca, trudna i odpowiedzialna.

— Podstawowym warunkiem, który nam umożliwił odnalezienie — mówi min. Wieczorek — upamiętnienie i otoczenie opieką miejsc walki i męczeństwa, było wciągnięcie do tej szlachetnej akcji jak najszerzego rzesz społeczeństwa. Nasz apel o pomoc i poparcie zyskał pełną aprobatę. Idea spłacenia narodowego długu pamięci wobec tych, którzy własnym życiem okupili wolność Polski, była bliska naszemu społeczeństwu. Wychodziła naprzeciw jego odczuciom, potrzebom i żądanom.

Ogromną pomoc okazała młodzież. Alerty harcerek były dla nas konfrontacją posiadanych materiałów z życiem i pomogły w dobruaniu właściwej formy wizualnej.

— Ale już przy pierwszej mapie, mającej pokazać zbrodnie hitlerowskie popełnione na ziemiach polskich, pojawiły się kartograficzne trudności. Przy zamieszczeniu tak wielkiej ilości znaków mapa stałaby się nieczytelna! Postanowiliśmy więc oznaczać tylko te miejsca, w których zostało zgładzonych ponad 50 osób.

— A jest na mapie tych znaków ponad dwa tysiące! — dodaje po chwili min. J. Wieczorek.

Podchodzimy do omawianej mapy.

— Tymi znakami — słyszymy — uwidocznione są duże obozy, jak: Oświęcim, Brzezinka, Majdanek, Stutthof. Obozy, w których ginęli nie tylko obywatele polscy, lecz różnych narodowości. Te znaki wskazują filie obozów zagłady, mniejsze obozy, fabryki i kopalnie, w których wyniszczano ludzi nie w komorach gazowych, lecz głodem i pracą ponad siły. Ale spełniały one przecież to samo zadanie, realizowały ten sam cel, co obozy śmierci.

Przechodzimy do drugiej mapy przedstawiającej „Walki zbrojne z najeźdźcą hitlerowskim”, na której pokazane są działania wojsk regularnych oraz partyzanckich i dywersyjnych. Akcje specjalne, jak ataki na linie komunikacyjne wroga, są tam dodatkowo przedstawione na małej mapce.

Tak samo uwidoczniony jest dodatkowo szlak bojowy Ludowego Wojska Polskiego, które poprzez Lenino doszło aż do Berlina.

Działania Armii Radzieckiej są oznaczone czerwonymi gwiazdkami, których ilość dokładnie wyjaśnia, jak wielki był udział wojsk radzieckich w wyzwoleniu Polski.

Odrębne znaki wskazują miejsca działań regularnych oddziałów Czechosłowackiej Armii Ludowej oraz antyfaszystów niemieckich.

Do obu tych map wydane zostały ponadto specjalne przewodniki: „Po miejscach martyrologii narodu” oraz „Walki zbrojne na ziemiach polskich 1939—1945” stanowiące zbiór krótkich informacji o każdym z oznaczonych na mapie miejsc.

— Trzecia mapa — wyjaśnia min. J. Wieczorek — to „Polacy na frontach II wojny światowej”. Pokazujemy na niej walki Polaków na wschodzie i na zachodzie, drogi, jakimi zdążyli ku walce, miejsca, gdzie się tworzyły i stacjonowały jednostki polskie. Na tej mapie najdokładniej widać, jak wielki był wkład Związku Radzieckiego w rozgromienie hitleryzmu. Znajdujemy też na niej miejsca, gdzie — poza granicami Kraju — działał polski ruch oporu, oraz gdzie są polskie cmentarze tak hojnie rozsiane na obcej ziemi.

Myślą przewodnią było dla nas pokazanie na tych mapach hitlerowskich zbrodni, walk stacjonarnych na naszej ziemi oraz udział zbrojny Polaków w walkach z faszyzmem na wszystkich frontach świata.

Obecnie jest przygotowywana czwarta z kolei mapa — „Polacy w obozach na terenie Europy”. Będzie do niej dołączony rejestr obozów koncentracyjnych z ich historią oraz opisem metod stosowanych przez hitlerowców. Pierwsza próba rejestru tych obozów wyniosła pięć tomów! Materiały zebrane do tej mapy rozesłane zostały do osób mogących podać dodatkowe informacje. W odpowiedzi otrzymano szereg cennych uwag oraz informacji. Obecnie specjaliści opracowują już całość.

— Pragnęlibyśmy — odpowiada min. Wieczorek na kolejne pytanie — aby każde województwo, a nawet każdy powiat w Polsce miał swoją własną mapę przedstawiającą walki i zbrodnie hitlerowskie



Przewodniczący Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa — minister Janusz Wieczorek przy jednej z trzech map

dokonywane na ich terenie. Próbą jest wydana mapa Gdańska, a następna będzie mapa Warszawy.

Jak z powyższego wynika, Rada Ochrony nie ma zamiaru poprzestać na już dokonanej, naprawdę wielkiej pracy.

— Zadaniem naszym jest zaznajomienie polskiego społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży — mówi min. J. Wieczorek — z ogromem zbrodni hitleryzmu i bezprzykładnego heroizmu narodu polskiego, który w walce o wolność poniósł tak ciężkie straty. W Polsce co piąty obywatel zginął lub został zamordowany przez hitlerowców. Nie ma rodziny, która nie utraciła kogoś bliskiego. Polska poniosła procentowo największe straty ludzkie i materialne spośród narodów walczących z hitleryzmem. O tym nie wolno zapomnieć. Ponadto związane dnia dzisiejszego z okresem okupacji to jednocześnie pokazanie, że słuszną była droga, którą wybrał się w czasie walki z hitleryzmem.

Zapytujemy o plany działalności poza granicami Kraju.

— Opierając się na doświadczeniach krajowych — odpowiada min. J. Wieczorek — Rada Ochrony opracowała program działania poza granicami Kraju nawiązując współpracę z Ministerstwem Spraw Zagranicznych i po-

przez nie z polskimi placówkami dyplomatycznymi i konsularnymi. Podobnie jak w działalności krajowej, pracę rozpoczęliśmy od stworzenia ewidencji wszystkich miejsc pamięci narodowej w poszczególnych krajach. Ustaliliśmy ilość tych miejsc, formy upamiętnienia, aktualny stan istniejących tam pomników, cmentarzy wojennych, mogli żołnierzy i partyzantów polskich, którzy walczyli w ramach istniejącego w tych krajach ruchu oporu.

Obecnie Rada Ochrony posiada wykaz miejsc pamięci narodowej w 32 krajach świata, a zebrane materiały pozwoliły na ustalenie istnienia 1.533 miejsc pamięci narodowej, z czego 1.486 znajduje się w Europie.

Polskie groby i cmentarze znajdują się także w Azji, Ameryce Północnej i Południowej, w Afryce... Nie brak ich i w tak egzotycznych krajach, jak: Sudan, Tanganika, Uganda, Afganistan, Iran i Irak; znajdują się również na Pustyni Libijskiej.

Przechodzimy do omówienia najbliższej działalności.

— W zasadzie w 1969 r. zostanie ukończona szeroka akcja upamiętniania miejsc walki i męczeństwa. Zakończona zostanie również sporządzanie kartotek. Na pierwszy plan wysuną się następujące zadania:

- opieka nad upamiętnionymi tysiącami miejsc pamięci narodowej w Kraju i za granicą,
- rozszerzenie prac wydawniczych Rady Ochrony i komitetów terenowych, z myślą o młodzieży,
- opracowanie planu działalności wydawniczej przeznaczonej dla zagranicy.

Nabiera to szczególnego znaczenia w obecnej sytuacji międzynarodowej, w dobie jawnego odradzania się w NRF ducha odwetu, militarizmu i neofaszyzmu.

Potrzeba przypomnienia przeszłości i budzenia czujności opinii społecznej na całym świecie jest tym większa, im bardziej zawodna pod tym względem staje się pamięć wielu, niestety, mężów stanu i polityków na Zachodzie.

Rozmawiał i notował:

Władysław KISIELEWSKI





Aleksander Grobicki

Po przybyciu do stolicy Gujany Brytyjskiej, autor naszych reportaży, kanadyjski Polak, były żołnierz II Korpusu, Aleksander GROBICKI, oczekuje w Georgetown na osiadłego w tym kraju Jurka Golasa, by z nim udać się w głąb odwiecznej dżungli po diamenty i na aligatory. Tymczasem przekazuje nam opis stolicy kraju i jej kolorowych mieszkańców.

(Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone)

Diamenty i aligatory

W GEORGETOWN NAGO NIKT NIE CHODZI

GEOGETOWN — od któregoś tam Hanowerczyka, króla angielskiego tak nazwane — białe, kolonialne miasto, zielone parasolami drzew, szkarłatne girlandami kwiatów, w którym żadnych zabytków czy tradycji (prócz „kolonialnej”, a ta dzisiaj przecież niemożliwa), ale w którym kipi żywioł, w którym na naszych oczach formuje się i dorasta nowy naród, powstaje nowa historia — już nie ręką białego człowieka pisana.

A wokoło pola ryżowe w równą szachownicę kanalikami porżnięte i na bryzie od morza falujące plantacje trzciny cukrowej. Wszystko zanurzone w tropikalnej spiekocie, raz na dzień i przynajmniej raz w nocy podlewane tropikalnym deszczem i stale chłodzone wiatrami „kupieckimi”, wiejącymi od Karaibów.

A o kilka mil na południe ciemnozielony mur dżungli odgradza wybrzeże od reszty kraju, od „interioru” (wnętrzne dżungli — przyp. red.), w którym już tylko boksyt, złoto, diamenty, aligatory, piranie, tajgery, „por-knockerzy” i „Amerindianie”.

Jeszcze tam nie dotarłem. Chwilowo spocyny i spragniony ocieram się tylko na ulicach miasta o młode Murzynki, o na jeża nastroszonych czuprynach i rozhuśtanych biodrach, o młode Hinduski o gładko zaczesanych, często w grubym warkocz zaplecionych, lśniących włosach, w skromności swojej aż wyzywające; o Murzynów w postrzępionych portkach i jaskrawych koszulach i Hindusów w białych jak śnieg, świeżo zaprasowanych garniturach. Tu sunie zamysłony Brahmin w powłóczystej białej szacie, tam podbiega uśmiechnięty ksiądz w białym habicie, nad tłumem czarnych sterczy biały turban mułły, pod katedrą trądem żartą rękę wyciąga żebrak owinięty w worek ryżowy...

Szerokimi alejami, w przyjemnym cieniu rozłożystych drzew rosnących na skwerze biegnącym środkiem ulicy, wędruję po Georgetown. Schludne i czyste, piętrowe domki. Drewniane, na biało malowane, z nieodzownymi kolorowymi żaluzjami w oknach, z czerwonym, żółtym i niebieskim kwieciami w ogródkach. Plac sportowy, na którym różnokolorowa młodzież gra w koszykówkę i kriketa (bo tutaj, jak i we wszystkich innych tropikalnych krajach przez Anglików „cywilizowanych”, nie baseball czy piłka nożna, lecz właśnie przynudny kriket jest narodowym sportem). Mijam protestancką katedrę św. Jerzego, bo-
daj że największy drewniany kościół na świecie, i katedrę katolicką, murowaną, ale jeszcze nie wykończoną. Ratusz i gmach sądu, oba drewniane, w miłym dla oka stylu kolonialnym, a przed nimi potworny, również kolonialny posąg królowej Wiktorii z białego marmuru. Tylko Anglicy mogli podobnymi szkaradziestwami zaśmiecać swoje posiadłości.

Main Street, Church Street, High Street — nazwy niczym w przyzwoitym angielskim mieście, a nie w tropikach, pod równikiem, wśród kolorowych. Portowa dzielnica handlowa, a w niej typowe sklepy towarowe,

w których — po angielsku — kupić można wszystko z alkoholem włącznie. Kanadyjskie banki (Royal, Commerce, Montreal), portugalscy brokerzy, chińskie pralnie, czarni policjanci, hinduscy żebracy, żelbetowe budynki i drewniany „Tower” — najelegantszy w mieście hotel, który wobec „International” w Curaçao wygląda jak farmerska stodoła. I Water Street, serce gujańskiego businessu, tamtejsza Wall Street, na której na przemian „shipping”, knajpa, konsulat, knajpa. Towary, worki ryżu i rum.

Środkiem ulicy jedzie ciężarówka, a w niej angielscy żołnierze. Któryś tam pułk królowej, jeszcze dziś, na peryferiach imperium rozlatującego się w politycznych drgawkach naszego globu, pilnujący jeszcze czegoś, co już straciło wartość, przeszło do historii.

Przyglądam się im i z melancholią przypominam sobie, jak bardzo ich tropikalne umundurowanie różni się obecnie od tego, które my, Polacy, 30 lat temu, fasowaliśmy od króla jegomości w Persji, Iraku czy Egipcie.

Z dymem imperium brytyjskiego poszły olbrzymie hełmy korkowe i poniżej kolan sięgające i jak spodnie szerokie szorty, wiecznie opadające pończochy i ciężkie, niezgrabne buciorzy, w którym to stroju dumnie paradowaliśmy na ulicach Bagdadu, Damaszku, Jerozolimy lub Kairu niezłym tropikalni szwejkowie.

Teraz widzę jakieś kapelusiki, przypominające mój „rybacki”, wygodne i przewiewne „bush shirt’s”, drelichowe spodnie skutecznie chroniące łydki przed żądłami moskitów i gimnastyczne buty. Tylko gęby zostały te same. Młode, czerwone, angielskie, czasem jeszcze u oficerów nastroszonym wąsem ozdobne.

Nie widać zupełnie pucybutów, których tak pełno w łacińskich krajach Ameryki. Ale nic dziwnego, skoro większość ludności chodzi w gimnastycznych pantoflach („Bata”) lub po prostu boso. Gujańczycy jeszcze nie wkroczyli na następny szczebel cywilizacji, na którym wisi napis: „wstęp tylko w butach”.

Natomiast żebraków bez liku. Wyciągają kikuty, skaczą na kulach, patrzą niewiedzącymi oczami. Pod bankiem siedzi Hindus z długą po pas siwą brodą. Gdy go fotografuję, spogląda na mnie beznadziejnie smutnym wzrokiem. Jakby z wyrzutem, że jego nieszczęście uwieczniam. A na pocztę pisze list siwy Murzyn, odziany tylko w dwa worki od ryżu. Gdy mu się nachalnie przyglądam, szczyrzy w uśmiechu spróchniałe zęby. Jakby z radością, że go zauważyłem.

Popołudniowa „rush hour”. Ulicami płynie rzeka rowerów. Dzieci, mężczyźni, kobiety — wszyscy pedałują. Rower to najtańszy, najekonomiczniejszy i przeto najpopularniejszy środek tutejszego transportu. W całym kraju wszystkiego 350 mil dróg. Poza wybrzeżem niedaleko nimi zajdziesz. Po cóż więc samochód? Jest ich zresztą dużo. Ale przewaga małych, angielskich modeli. Tak popularnych gdzie indziej Volkswagenów nie widać. Natomiast najpopularniejsze piwo jest nie angielskie, lecz holenderskie. Czyżby podobna historia jak z winem w Ameryce Środkowej, gdzie na złość Hiszpanom wina nie pito i mało pija do dzisiaj?

Ruchem reguluje czarny policjant na białym koniu. Ma biały, korkowy hełm, białą obcisłą kurtkę i granatowe spodnie z czerwonym lampasem. To już przypomina „kolonializm”, podobnie jak żołnierz w białym mundurze i czarnym berecie, stojący na warcie przy wejściu do rezydencji brytyjskiego gubernatora. A w „Royal Canadian Bank” setka dziewczyn w białych bluzkach i granatowych spodniach, jedna ładniejsza od drugiej, jedna zgrabniejsza od drugiej i ani jedna stuprocentowo „biała”. Do wyboru i do koloru — jakby powiedział cynik. Wszelkie odcienie skóry, wszelkie mieszanki ras.

Podobnie zresztą na ulicy. Zasadnicze kolory to czarny i szary (niektórzy twierdzą, że „oliwkowy”, ale to nieprawda. Hindusi w większości są „szarzy”). W 1960 r. na około 575.000 mieszkańców Brytyjskiej Gujany Hindusów było 279.500, a Murzynów 190.380. Ale między tymi zasadniczymi kolorami istnieje cała gama innych. Żyje więc w Gujanie 66.000 mieszkańców (głównie murzyńsko-hinduskich), 3.500 Chińczyków, 7.500 Portugalczyków, 5.250 „innych” Europejczyków, czyli w większości Brytyjczyków, i 25.000 „Amerindian”. Poza tymi ostatnimi wszyscy są „zeuropeizowani”. Nago nikt nie chodzi (dziurawe portki czy worek ryżowy wystarczają) i piersi nie pokazuje (publicznie).

Murzynki ubierają się jaskrawiej i bardziej kuso niż Hinduski, chętnie jeszcze chodzące w swoich powłóczystych „sari” i pomadką do ust malujące znak kastowy na

Jedyny drewniany ratusz znajduje się w Georgetown



czole. Hindusi również wyglądają schludnie i bardziej konserwatywnie niż Murzyni, którzy niewiele (na co dzień) przykładają wagi do tego, co mają na plecach. I gdy czarni ciągle się śmieją, błyskają białkami oczu, często są nawet obcesowi — w hinduskich wilgotnych oczach gazeli czai się smutek, a szcuple ciała gną się jak trzcina na wietrze.

Skoro już mowa o rasach i kolorach skóry — rzućmy okiem na ich gujańską genealogię:

Afrykanie, czyli Murzyni, przybyli do Gujany już z pierwszymi białymi osadnikami. Jako niewolnicza siła robocza na plantacjach trzciny cukrowej. Tak było wówczas na całym obszarze Karaibów. Warunki, w jakich ci czarni żyli i pracowali, były (jak wszędzie) fatalne. Malaria i inne tropikalne choroby, brutalność i wyzysk plantatorów, brak higieny, drakońskie kolonialne prawa białego człowieka — wszystko to razem i z osobna dziesiątkowało czarnych. W połowie ub. wieku było ich przeszło 100.000. Dzisiaj, w sto lat później, 190.000 — co dowodzi, że stracili swoją siłę rozrodczą, co powoduje, że ustępują Hindusom, którzy do Gujany przybyli daleko później i ciągle potrafią się rozmnażać, niczym u siebie w Indiach.

Gdy w 1834 r. Anglia zniosła niewolnictwo (mimo gwałtownego protestu i oporu plantatorów), w Gujanie nastąpił poważny kryzys roboczy. Ustał dopływ czarnych z Afryki. Można ich było już tylko na kontrakty sprowadzać z wysp Indii Zachodnich, ale tamtejsi plantatorzy bardzo niechętnie pozbywali się własnej siły roboczej. Sięgnięto więc po Chińczyków i Portugalczków. Lecz ci rychło rzucali pracę na plantacjach i osiadali w miastach, trudniąc się tam drobnym handlem i tworząc podstawy do obecnej chińskiej i portugalskiej, bardzo bogatej i wpływowej mniejszości kraju. Wreszcie w drugiej połowie ub. wieku poczęto sprowadzać masowo robotników z Indii. Podpisywali pięcioletnie kontrakty, które zapewniały im odesłanie z powrotem do kraju rodzinnego. Większość jednak nie skorzystała z tego. Nie mieli po co wracać do przeludnionych, głodujących Indii. Zostali. Rozmnożyli się i tworzą dzisiaj blisko 300-tysięczną większość ludności Gujany. Tworzą de facto hinduskie państwo w Ameryce Południowej.

Na marginesie wspomnieć można, że w sąsiednim, holenderskim Surinamie, niewolnictwo zniesiono dopiero w 1863 r. W tym czasie zawiąły do Paramaribo (stolicy kraju) nowe transporty niewolników z Afryki. Wobec jednak zmienionej sytuacji, nie wiedząc, co z przywiezionymi ludźmi robić, wypuszczono ich na ład. Natychmiast zaszyli się w dżungli i stworzyli tam, na wzór afrykański, pierwotne murzyńskie osiedla. Istnieją do dzisiaj. Są atrakcją turystyczną i kłopotem dla rządu nie mniejszym niż miejscowi Indianie. Zowią ich „Bushnegro” i w niczym od stu lat się nie zmienili. Pozostali dzicy i pierwotni.

ZJADACZE CASSAVY

LEŻE W ŁOŻKU przykryty kocem. I nie chce się wierzyć, że jestem w tropikach, że przed kilkoma godzinami lał się ze mnie pot, a wódcę po mieście odbywałem od jednej butelki mrożonego piwa do drugiej. Temperatura w nocy spada chyba o 20 stopni F i nic nie gryzie, co jest niespodzianką, i co w tropikach nadzwyczajne — ale i tak nie mogę zasnąć, noc bowiem jest „muzykalna”.

Rozpoczęła ją orkiestra z sąsiedniego, nocnego lokalu. Cza-cza, mamba, calipso, szcęk lodu w szklankach, suwanie stóp po parkiecie, śmiechy. Przyjemnie było słuchać południowych, podniecających melodii, szczególnie dla ucha ogłuszonego beatlesowymi wydzieraniami lub zawodzeniami — ale trwało to do pierwszej w nocy. A że dancing (pod gołym niebem) odbywał się o niecałe sto metrów od moich (otwartych) okien — więc o spaniu mowy nie było.

Kiedy zamilkli, to tylko po to, by na scenie ustąpić miejsca innej orkiestrze. Muzyce natury! Żabim chórom i świerszczowym

smyczkom. I znowu było bardzo przyjemnie — ale na sen to też nie pomagało.

Wreszcie gdzieś około 2 w nocy nastąpił iście wagnerowski finał: niczym grzmot wojennych bębnow — huk deszczu na dachach, okiennicach, liściach drzew i palm. Nagle bowiem poczęło lać — tak jak to w tropikach lać potrafi, jak to u nas nazywa się oberwaniem chmury, a u nich zwykłym, sezonowym deszczem.

A gdy w pół godziny ulewa skończyła się, gdy żaby i świerszcze znowu „dorwały się” do głosu — w sąsiednim pokoiku zapaliło się światło, a że ściana nie dochodziła do sufitu i była zbudowana z cienkich desek, poczułem się jak za parawanem.

To wróciła moja sąsiadka — młoda, szczupłutka, czarnowłosa, czarnoooka, o skórze koloru kawy z mlekiem — Hinduska. Ma zbyt cienkie nogi i figurę 12-letniej dziewczynki, co nie przeszkadza, że jest „hostessą” w tymże sąsiednim nocnym lokalu.

Na suficie migają długie cienie... One mnie wreszcie usypiają.

* * *

A nazajutrz poznaję „Amerindians”.

Gdy w Meksyku, Jukatanie i Peru kwitły cywilizacje Azteków, Majów i Inkasów, olbrzymie połacie ładu ograniczone od zachodu wałem Andów, od wschodu Atlantykiem, od południa dorzeczem Amazonki, a od północy Morzem Karaibskim zamieszkałe były przez szereg szczepów indiańskich (Arawak, Warrau, Waiwai, Makus, Akawai, Arekuna itp.). Przybyli tam tysiąc lat temu. Niesieni na falach migracji ciągnącej z Azji, poprzez cieśninę Beringa, między językami kanadyjskich lodowców, wzdłuż amerykańskiego kontynentu, zepchnięci z kolei dalej na południe z wąskiego, ale najlepiej nadającego się na osadnictwo pasa Ameryki Środkowej, zamiast skierować się wzdłuż Pacyfiku (jak to uczynili Inkowie), skręcili na wschód i na amen utknęli w dżungli Amazonki. Dla większości z nich stała się ona ślepym zaułkiem. Karaibi tylko potrafili się z niego z powrotem wycofać na północ, zaludniając wyspy Indii Zachodnich. Inni w dżungli pozostali i nie znalazłszy w niej absolutnie żadnych warunków do osadnictwa — nie stworzyli żadnej kultury. W wierzeniach swoich nie wyszli poza strach przed demonami i prawami natury. W języku zaledwie kilka setek słów. Nie nauczyli się pisać, ubierać, walczyć z otaczającą ich przyrodą. Nie stworzyli niczego. Podobnie jak afrykańscy czy australijscy Buszmeni, pozostali poza nawiasem rozwoju cywilizacji.

Kraj, który zamieszkiwali, był olbrzymi, pokrywał go dywan pierwotnej, najstarszej na świecie dżungli. Pięły się w nim niedostępne góry „stołowe” i przerzynały go niezliczone rzeki i strumienie, w większości również niedostępne, bo licznymi wodospadami i rapidami poprzerywane. Nazwali go w swoim języku „Guyanna” czyli „Kraina wód”. Natomiast ich samych, nowi na tej ziemi przybysze nazwali „Amerindians”. W Brytyjskiej Gujanie żyje ich dzisiaj około 25.000. Tylko w „interiorze”, w małych zgrupowaniach, w trzynastu dystryktach (rezerwach), w których nie-Indianom osiedlać się nie wolno. Żyją niewiele inaczej niż przed przybyciem tutaj białego i czarnego człowieka. Polują, łowią ryby, płuczą diamenty i złoto. Ci, którzy żyją na skraju dżungli, w bliższym kontakcie z resztą ludności kraju, nie chodzą już nago (bo ich misjonarze ubrali) i mówią po angielsku (bo ich misjonarze nauczyli). Jak to ich życie wygląda — zobacz dopiero w dżungli. Chwilowo oglądam ich w muzeum w Georgetown.

Nagich, wytatuowanych, małego wzrostu, bez zarostu — na licznych fotografiach obrazujących typy plemienne oraz ich pierwotne budownictwo i jeszcze pierwotniejszy rytuał religijny.

Oglądam ich broń — cienkie a długie dmuchawki, z których wypuszczają strzały

maczane w kurarze lub urari, strasznych południowoamerykańskich truciznach.

Oglądam prymitywne statki domowe, zrobione z drzewa lub łupin owoców. I zapoznaję się (na fotografii i z opisu) z najważniejszą dla życia w dżungli sztuką zarządzania „chleba” i „piwa” z bulwowych narośli na korzeniach krzewu Cassava.

Krzew jest na 8 stóp wysoki. Bulw zwykle ma 10. By z nich zrobić chleb, czyli placki o 2 stopowej średnicy, lub odurzający napój Cassiri, trzeba wpiąć mączkę dobrze wygnieść i wypłukać w specjalnych słomianych rurach, zawiera bowiem niebezpieczną dla człowieka truciznę. Ale z uprawą Cassavy nie ma najmniejszego kłopotu. Ułamana gałązka zatyka się po prostu w ziemi i sprawa załatwiona. Nie trzeba kopać czy oporządzać — wobec tego narzędzia rolnicze nie są potrzebne. Nie trzeba martwić się o zbiory — wobec czego religia też zbędna, bo nie potrzeba nikogo prosić o deszcz lub pogodę. Cassava, czerpiąca truciznę z jałowego gruntu dżungli, była przez tysiące lat dobrodziejstwem dla Indian. Pozwalała im żyć. Ale równocześnie powstrzymała ich w rozwoju.

Gdy nad Nilem pierwszy raz przez człowieka wyhodowane ziarna zboża stworzyły fundament do powstania kultury śródziemnomorskiej, gdy w dolinach Meksyku i Gwatemali wyhodowana kukurydza stworzyła kulturę środkowoamerykańską — Cassava, nie potrzebująca ani hodowli, ani uprawy, spowodowała, że Indianie z dżungli Amazonki pozostali tym, czym byli — dzikimi zjadaczami Cassavy.

W muzeum oglądam również indiańską „sztukę ludową”. Ogranicza się do zapasek i naszyjników zrobionych z koralików, do rytualnych ozdób głowy, przybranych barwnymi piórami ptaków oraz słomianek plecionych i wiosł rzeźbionych w geometryczne symbole plemienne. Te słomianki i wiosła to chyba jedyny oryginalny twór „amerindiański”. I to wszystko.

Niewielka salka w muzeum, pokazująca nam całe życie i cały dorobek ludzi zamieszkujących ten kraj od tysięcy lat. Jakież ubóstwo formy, kształtu, inicjatywy w porównaniu choćby z bogato w muzeum reprezentowaną fauną.

Szczególnie w porównaniu z rybami — których w „Krainie Wód” bez liku i które daleko lepiej niż pierwotny Indianin potrafily dostosować się do miejscowych warunków.

Olbrzymie, płaskie, jak lampart centkowane raje z trującym kolcem na ogonie. Na kilkanaście stóp długie azapaima, największe na świecie słodkowodne ryby. Elektryczny węgorz, siłą 600 wolt mogący śmiertelnie porazić pływaka. Opancerzony cat-fish, pozostałość z przedhistorycznych czasów. Rygorystyczna rodzina sun-fish, w której ojciec wychowuje dzieci, i którego muszą słuchać i jego boku się trzymać, bo jeżeli ktoś nie posłucha, to tata je zjada! Przedsiębiorcza arawanna podpływająca pod samą powierzchnię wody i wystawiająca nad nią dwa swoje czułki na przynętę dla motyli. Straszliwa, zębata pirania, której stadko w kilka minut ogoloci człowieka do kości. I wreszcie kajmany, najbardziej krwiożercze „krokodyle” na świecie. Jest to zresztą tylko „zębata” wycinek stworzeń zamieszkujących gujańskie rzeki.

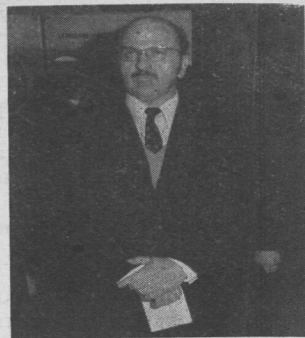
W tymże muzeum natykam się również na pamiątkę polską. W kolekcji monet i medali znajduje się srebrny pieniądz z podobizną Zygmunta II z lat 1587—1632. W tym właśnie czasie admirał Raleigh odkrywał Gujanę!

W następnym numerze

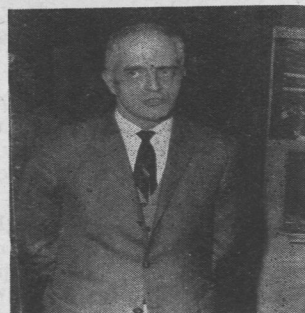
**W oczekiwaniu
NA GOLASA**



Wystawa ukazywała Wrocław i region dolnośląski — jego bogactwa naturalne, przemysł, skarby sztuki, piękno krajobrazu



W czasie uroczystego otwarcia wystawy sekretarz gen. „Odry-Nysy” p. Krakowiak mówił o długich tradycjach przyjaźni polsko-francuskiej



Przemawiał też zastępca mera pan Denimal

O WROCŁAWIU W CALAIS

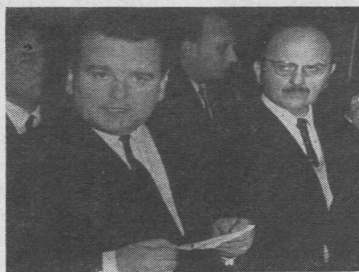
W OKAZALYM ratuszu Calais, stanowiącym dumę miasta, zorganizowana została ostatnio, staraniem Stowarzyszenia Obrony Granic na Odrze i Nysie, wystawa o Wrocławiu. Wysoki patronat nad wystawą objął ambasador PRL w Paryżu p. Jan Druto i mer p. Jacques Venderoux, deputowany departamentu Pas-de-Calais.

Przez trzy dni liczni zwiedzający zapoznawali się, poprzez zdjęcia, wykresy, mapy i plany, z architekturą, życiem, dynamizmem i urokiem dolnośląskiej stolicy.

Wystawa obejmowała duży zestaw plansz, estetycznie eksponowanych, które zappełniły wielki hall ratusza. Dodatek do tej wystawy stanowiła druga, informująca zwiedzających o rozległych możliwościach turystyki do Polski i spędzania w Polsce pobytów wakacyjnych, kuracyjnych, sportowych etc. Dla zwiedzających wyłożona była obfita dokumentacja, w postaci broszur, prospektów, folderów, czasopism.

Otwarcie wystawy w ratuszu w Calais odbyło się bardzo uroczystie. Ambasadora PRL w Paryżu p. Jana Druto reprezentował konsul z Lille p. Ryszard Korczewski. Mera Calais reprezentował p. Raymond Denimal. Obecni byli: p. Marceau Danel i pani Renée Langlet — radcy generalni, p. Robert Delhaye — b. zastępca mera, p. Marcel Lesigne — sekretarz generalny merostwa, p. Pierre Gheerbrant — sekretarz generalny Izby Handlowej, p. Benazet — komisarz policji, p. Gilbert Baras — przewodniczący Centre Culturel du Calais, p. Albert Vion — przewodniczący stowarzyszenia Les Amis du Vieux Calais, p. Maurice Langelot — przewodniczący Komitetu Echanges Franco-Allemands, reprezentanci instytucji, związków, profesorowie, urzędnicy, robotnicy — przedstawiciele różnych środowisk społecznych.

Stronę polską, oprócz konsula Korczewskiego, reprezentował p. Henryk Rusinowski — dyrektor Polskiego Biura Podróży „Orbis” w Paryżu, p. Czesław Turzański — wicekonsul z Lille i — z ramienia organizatorów wystawy — p. Aleksy Krakowiak — sekretarz generalny „Odry-Nysy”, pp. Perrault i Kubiak z biura krajowego tego stowarzyszenia.



Od lewej: zast. mera p. R. Denimal, dyr. „Orbisu” p. H. Rusinowski (w głębi), p. konsul R. Korczewski i sekretarz gen. „Odry-Nysy” p. A. Krakowiak

Na temat granicy na Odrze i Nysie, pokoju i serdecznej przyjaźni, jaką żywią Francuzi dla Polski, mówił reprezentant mera i jego I zastępca p. Raymond Denimal.

P. Aleksy Krakowiak podziękował zarządowi miasta Calais za pomoc przy zorganizowaniu wystawy o Wrocławiu, mieście polskich Ziemi Odzyskanych. Nawiązując do dawnych, pięknych tradycji przyjaźni między obu narodami przypomniał p. Krakowiak, że Polska i Francja nigdy nie toczyły ze sobą wojen. Zachęcił zebranych do odwiedzenia Polski, a ze szczególną serdecznością zaprosił do odbycia tej podróży p. Denimala.

Ze wzruszeniem przemówił do zebranych reprezentantów Calais, miasta o bohaterskich tradycjach, p. konsul Ryszard Korczewski. Mówca podkreślił, że Polskę i Francję łączą silne więzy bliskości kulturalnej, gospodarczej i politycznej. Łączy je wspólne dążenie do utrwalenia pokoju w Europie i w świecie.

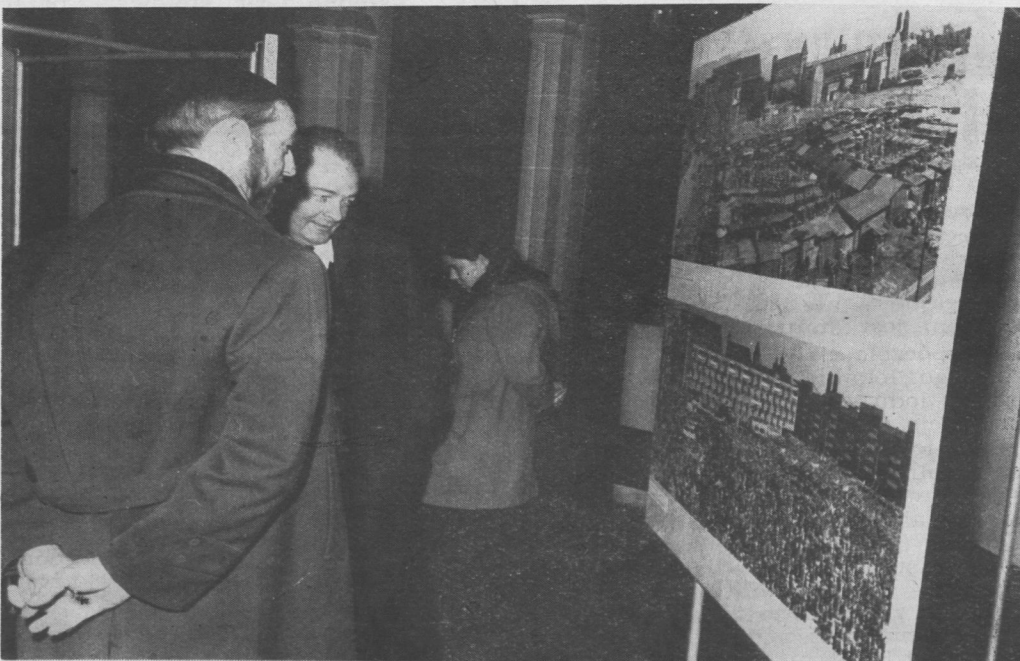
Uroczystość otwarcia zakończyła się cocktailem „à la polonaise”.

Otwarcie wystawy transmitowane było przez telewizję. Sprawozdania z uroczystości ukazały się w prasie lokalnej regionu Calais.



Zainteresowanie budziły zestawienia fotograficzne: zwiedzający oglądali zdjęcia tych samych obiektów Wrocławia po zniszczeniach wojennych i po dokonaniu ich odbudowy

Na otwarcie wystawy w ratuszu przybyło wiele osobistości, liczni reprezentanci różnych środowisk społecznych Calais, profesorowie, nauczycielstwo i sporo młodzieży



O polskich muzykantach

KOMPONOWANIE — TO CAŁE MOJE ŻYCIE



P. Edmund Rybski

„Mam 32 lata. Pracuję w kopalni jako elektromechanik. Pracę kompozytorską param się tak naprawdę poważnie dopiero od ośmiu lat, ale mój „romans z muzyką” zaczął się o wiele wcześniej, bo jeszcze w dzieciństwie. Jesteśmy rodziną muzykantów. Muzykaniem był mój zmarły na pylicę ojciec, muzykaniem był mój stryj, muzykaniem był dziadek, muzykaniem jest mój brat i kuzynów mam też muzykantów. Ojciec mój przez długie lata grał w założonej 43 lata temu przez p. Kajczyka, który też już dzisiaj nie żyje, orkiestrze polskiej „Harmonia”. Dzisiaj zastępuje go tam mój brat, no i ja — bo ja też teraz należę do „Harmonii”...”

NASZYM rozmówcą jest młody kompozytor pochodzenia polskiego z Bully-les-Mines (Pas-de-Calais), — p. Edmund Rybski.

— ...Ojciec oczywiście chciał ze mnie zrobić muzykanta, ale ja przez długie lata uparczywie się temu jego zamiarowi opierałem — ciągnie dalej p. Rybski. — Wprawdzie już w dzieciństwie

Quelques-uns de ses morceaux ont été enregistrés sur disques par les orchestres de François Kmicik et de Stéphane Kubiak; l'un d'eux a été présenté à la télévision; certains de ses airs sont passés sur les ondes. Joués par nombre d'ensembles polonais du Pas-de-Calais, ses compositions ont également conquis des chefs d'orchestres d'autres régions, et notamment de Montceau-les-Mines et de Colmar. Un nouveau compositeur nous est né. Agé de trente-deux ans, il habite Bully-les-Mines, dans le Pas-de-Calais, où il travaille à la mine comme électromécanicien. Il s'appelle Edmund Rybski. Nous venons de l'interviewer.

Edmond Rybski est issu d'une famille de musiciens. „Mon grand-père était musicien. Mon père jouait de la trompette dans la société de musique „Harmonia”. „Harmonia” a été fondée il y a quarante-trois ans par M. Kajczyk, qui fut mon professeur. Mon oncle était lui aussi un passionné de la musique. J'ai des cousins musiciens, et mon frère et moi nous le sommes évidemment aussi, nous relayons notre père dans la société „Harmonia” — a-t-il commencé par nous expliquer.

En dépit de cette atmosphère musicale, M. Rybski n'est venu à la composition qu'en 1957: „Mon père rêvait de faire de moi un musicien, mais je ne voulais rien entendre — dit-il. — Pourtant, j'aimais à assister aux répétitions de „Harmonia”, et, qui plus est, je composais — en esprit, naturellement, — j'étais visité par toutes sortes de mélodies. Mais j'étais allergique au solfège. Il me semblait que je n'arriverai jamais à pénétrer le langage des notes... Puis il se produisit en moi un changement radical. Retour du service militaire, je m'inscrivis à „Harmonia”, j'appris le solfège. Un jour, M. Kajczyk me montra quelques notes — c'était une transcription de l'une des mélodies qu'il m'arrivait de lui fredonner. Ce fut pour moi une véritable révélation. Dès lors, je pris sérieusement à tâche de composer...”

...Je compose quotidiennement, ou presque. Je fais surtout des tangos, des polkas et des valse, mais je suis également tenté par les marches et par la musique d'église. J'ai aussi composé deux ouvertures — j'aime la musique classique, surtout celle de Beethoven et de Rossini. Généralement parlant, ma musique est entée sur les mélodies populaires polonaises. Mon rêve? Composer, composer, composer. La musique, c'est toute ma vie”.

snuły mi się po głowie różne melodie, ale przerażał mnie dziwny dla mnie podówczas język nut. Wydawało mi się, że nigdy się tego nie potrafię nauczyć. Lata biegnęły za latami, i nic się nie zmieniło. Mimo iż ciągle nawiedzały mnie jakieś melodie, to jednak o ich zapisywaniu mowy być nie mogło, bo ja z solfżem żyłem po staremu na bakier. Chodziłem na próby „Harmonii”, siadałem, słuchałem, i na tym się wszystko kończyło. Dopiero po odbyciu służby wojskowej, tj. w r. 1957, nastąpił we mnie jakiś przełom. Wstąpiłem do „Harmonii”. Nauczyłem się sztuki czytania nut... Pewnego dnia mój nauczyciel, p. Kajczyk, pokazał mi zapisaną pięciolinie. Był to zapis jednej z nuconych przeze mnie melodii... Wywarło to na mnie ogromne wrażenie. Zacząłem zgłębiać arka-na kompozycji i uczyć się orkiestracji, to znaczy układania utworu na poszczególne instrumenty... Odwiedzałem regularnie p. Kajczyka, czyniłem znaczne postępy... No i wreszcie nadeszła wielka chwila: skomponowałem pierwszy swój utwór — walc, który zatytułowałem „Irena”.

...Rozsmakowałem się w pracy kompozytorskiej. Jako że melodii mam zawsze w głowie bez liku, pisałem dość dużo, a kiedy miałem jakieś trudności, szedłem do zanego p. Kajczyka. Pisałem oczywiście z myślą o tym, że te moje utwory będą grane. Ale nikt mnie nie znał. Trzeba było nawiązać kontakt z jakąś orkiestrą. Pewnego razu zdobyłem się na odwagę i poszedłem na bal, na którym przygrywała znana orkiestra p. Franciszka Kmicieka, i pokazałem p. Kmiciekowi swoje rzeczy. Kmiciek powiedział mi, że — owszem, dobra jest ta moja muzyka i on chętnie będzie moje kompozycje grał, ale — czy ja należę do SACEM? Bo orkiestrom wolno grać tylko utwory kompozytorów należących do SACEM. SACEM to stowarzyszenie kompozytorów. To samo powiedział mi inny znany muzykant polski

z Pas-de-Calais, p. Stefan Kubiak.

...Zacząłem więc czynić odpowiednie starania. Trwało to dość długo. Musiałem składać w Lens egzamin. Wreszcie w r. 1965 otrzymałem z Paryża wiadomość, że zostałem przyjęty w poczet członków SACEM. Możecie sobie wyobrazić, jaki byłem uradowany! Udałem się ponownie do pp. Kmicieka i Kubiaka, moje kompozycje weszły do ich repertuaru — tak, widzicie, się to wszystko u mnie zaczęło.

...Od tej pory dorobek mój znacznie się oczywiście pomnożył. Ogłosiłem już drukiem 24 utwory. Co komponuję? Przede wszystkim walce, polki i tanga. Ale również i marsze, które „Harmonia” gra w trakcie pochodów w Bully i innych miastach. Piszę także muzykę kościelną i próbuję sił na polu muzyki poważnej. Jak dotąd, skomponowałem dwie uwertury. Moimi ulubionymi muzykami są Beethoven i Rossini. Generalnie rzecz biorąc, gleba, z której wykiełkuje moja muzyka, to polskie melodie ludowe, których tyle nasłuchałem się w dzieciństwie... Melodie te są dla mnie czymś na kształt odkoskocznicy. Tytuły swoich kompozycji wymyślam sam. Komponuję prawie codziennie. Każdą nową rzecz przegrywam najpierw z bratem i kuzynami, i potem dopiero nadaję jej ostateczną formę. W tej chwili moje utwory grane są m. in. przez orkiestrę Kmicieka, Kubiaka i braci Łackich, proszą mnie także o nadesłanie im moich rzeczy muzykanci z innych okolic Francji, m. in. z Colmar i Montceau-les-Mines. Kmiciek i Kubiak nagrali już także trzy moje kompozycje na płyty. Ponadto orkiestra Kmicieka grała także jeden z moich kawałków — polkę zatytułowaną „Niech żyje nasza polka” — w telewizji. Kompozycje moje gościły już także na falach France-Inter i Europe n° 1. Wszystko to stanowi zachętę do dalszej pracy. Moje marzenia? Komponować, komponować, komponować. Muzyka — to całe moje życie.

Pamiętkowe zdjęcie orkiestry „Harmonia” z Bully-les-Mines. W pierwszym rzędzie stoi — pierwszy po prawej — założyciel „Harmonii” i nauczyciel p. Rybskiego, p. Kajczyk. Obok p. Kajczyka — drugi od prawej — ojciec kompozytora — p. Rybski



Tygodniowa GAWĘDA

Kolejny kamień milowy
32,4 miliona
To nie manna z nieba

DOROCZNE komunikaty Głównego Urzędu Statystycznego o rozwoju gospodarki narodowej — to jakby kamienie milowe na drodze, którą kroczy naród polski. Dobrze jest podczas długiej, wcale nie łatwej ani ustanej różami drogi, gdy nierzad trzeba się wspinać stromo do góry, kiedy indziej omijać różne, piętrzące się na drodze przeszkody, przystanąć na chwilę, obtrzeć pot z czoła i zastanowić się nad przebytą drogą.

W tym roku będzie okazja do dokładniejszego rozejrzenia się, mija bowiem 25 lat od chwili, kiedy to się zaczęło po latach wojny i okupacji, i to takie 25 lat w rozwoju Kraju, że poprzednie stulecia nie mogą się z nimi równać; tymczasem jednak rozejrzyjmy się skromniej, w skali jednego tylko roku: co przyniósł rok 1968 w porównaniu ze swoim poprzednikiem — 1967? Na to pytanie odpowiada właśnie komunikat GUS.

Przede wszystkim: ilu nas jest w Kraju? GUS powiada: na 31.XII.1968 — około 32,4 miliona, oznacza to przyrost w ciągu roku około 340 tysięcy. Przed rokiem ludność miejska stanowiła 50,3% ogółu ludności, obecnie już 51,2% — dowód, że w dalszym ciągu w wyniku uprzemysłowienia Kraju, zmienia się jego struktura, Polska coraz wyraźniej staje się krajem przemysłowo-rolniczym, a nie — jak dawniej było, rolniczo-przemysłowym.

Niedawno, Mili, pisałem w gawędzie o sprawie przyrostu naturalnego, wypowiadając opinię, że raczej nie grozi Polsce dalsze jego obniżenie; cyfry GUS potwierdzają tę opinię: po 12-letnim okresie obniżania się przyrost wykazał tendencję do wzrostu, wyniósł w roku 1968 — 8,7 na 1000 ludności.

Więcej ludzi — więcej trzeba wytworzyć, to oczywiste. Podobnie jak w poprzednich latach — to już reguła — plany produkcyjne nie tylko zostały wykonane, lecz w większości przypadków przekroczone. Oczywiście — na pozór przeciętnego obywatela to nie wzrusza, że np. plan budowy lokomotyw elektrycznych wykonano w 105,8% lub, że w roku 1968 wyprodukowano o 8,4% więcej silników okrętowych napędu głównego niż w roku poprzednim. Przeciętny obywatel bowiem nie nabywa ani nie odczuwa braków jednego lub drugiego. Zrozumiałe, że jest to rozumowanie bez sensu: każdy produkt, wytwarzany w Kraju, pomnaża jego bogactwo, co odbija się na życiu obywateli; niewykonanie planu, brak postępu przyniosłby ujemne skutki dla każdego. Dlatego też ludzi interesuje w Polsce nie tylko wykonanie planu w dziedzinach bezpośrednio ich interesujących.

Ale również w tych dziedzinach, np. w bezpośredniej konsumpcji, wzrost jest wyraźny w sprzedaży wszystkich podstawowych artykułów żywnościowych: mąki, kaszy, pieczywa, mięsa, mleka, masła, cukru itd. (największy w spożyciu tłuszczów zwierzęcych — 8,6% oraz ryb i przetworów rybnych — 9,3%). Zaopatrzenie ludności w towary nieżywnościowe było też lepsze niż przed rokiem, ale nie we wszystkich dziedzinach, np. braki zaznaczyły się w dostawach wysokogatunkowych tkanin wełnianych (również z elany). Stały za to i konsekwentny wzrost zakupów notuje się, jeśli chodzi o lodówki, odkurzacze, odbiorniki radiowe i telewizyjne, radiole, zegarki itd.

Ten wzrost zakupów odpowiada wzrostowi płac poważnej ilości pracujących; w r. 1968 uzyskało podwyżki ok. 893 tys. zatrudnionych, a przeciętna płaca w gospodarce uspołecznionej wzrosła w ciągu roku o 3,9%. W roku tym nastąpiło również poważne polepszenie zaopatrzenia rencistów i emerytów, wypłaty z tych tytułów wzrosły bowiem aż o 25,3 miliarda zł, tj. o 21,8%. Istotny wzrost wpłat na księżeczki oszczędnościowe (o 16,5% w ciągu roku) potwierdza również tezę o dalszym postępie.

Trzeba oczywiście pamiętać, że to wszystko — to nie manna z nieba, że zostało to wypracowane w dużym trudzie ludzi pracy w mieście i na wsi, że są dziedziny, w których jeszcze nie wszystko „gra”, że jest i na dalsze lata sporo do zrobienia i do naprawy. Ważna jednak jest tendencja, a ta jest wyraźna, pozytywna. Przystanęwszy przy kamieniu milowym 1968, można sobie powiedzieć: dobrze! MARIAN



Mieszkańcy rozbudowujących się stale Puław otrzymali nowy Dom Towarowy „Hermes”

● Czy polscy rybacy będą łowić krewetki?

Nie są oni w tej dziedzinie tak kompletnymi nowicjuszami, jakby się to mogło wydawać. Polskie stocznie zbudowały przecież dla Kuwejtu serię statków do połowu krewetek i wyposażyły te jednostki w specjalistyczny sprzęt zaprojektowany przez polskich fachowców. Znacznym zasobem potrzebnych umiejętności mogą się pochwycić już wylegitymować. Nieobca jest również rybakom technologia zabezpieczenia surowca i przechowywania go na statku. Rybacy zajmują się tym jednak sporadycznie, a najczęściej przypadkowo złowione krewetki wędrują po prostu za burty, jako towar bez wartości handlowej na polskim rynku.

Z takim traktowaniem krewetek nie godzą się naukowcy z Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni. Po spenetrowaniu na pokładzie statku badawczego m/t „Wieczno” krewetkowych łowisk północno-zachodniego Atlantyku — wskazali na celowość

i opłacalność podjęcia połowów krewetek.

Delikatesowy skorupiak jest wszędzie poszukiwany. W rejonie Georges Bank, gdzie statek „Wieczno” w czterech zaciągach wydobyl ponad 10 ton skorupiaków, eksploatowane są trawlerzy podobnego typu. W okresach słabszej wydajności śledzia mogłyby one z powodzeniem zająć się krewetkami. Ta „produkcja uboczna” w niczym nie koliduje z zasadniczymi celami rybołówstwa. Przyczyniłaby

się ona do podniesienia jego efektywności ekonomicznej, a na przyszłość mogłaby stać się punktem wyjścia do podjęcia połowów na skalę przemysłową.

Najbliższy swój rejs „Wieczno” poświęci penetracji łowisk afrykańskich, gdzie obok krewetki występuje znacznie cenniejsza langusta. Perspektywy wydają się tu jeszcze bardziej zachęcające. Być może langusty i krewetki znajdą się także na polskich stołach.

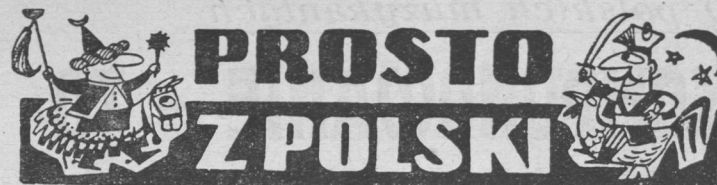
● Nowe fabryki na Rzeszowszczyźnie

Według informacji prasy polskiej, tempo inwestycji przemysłowych nie słabnie. W 1969 r. inwestycje budowlane, łącznie z budownictwem mieszkaniowym, przemysłowym i socjalno-zdrowotnym kosztować będą 193 miliardy złotych, a więc o ponad 8% więcej niż w roku ubiegłym. W tempie inwestycji szczególnie zainteresowana jest Rzeszowszczyzna, gdzie zlokalizowano wiele nowych zakładów przemysłowych. W Przemysłu powstaje duża fabry-

ka wagonów towarowych — która zatrudni 2,5 tys. osób i będzie produkować 5 tys. wagonów rocznie. Zakończenie budowy przewiduje się już w 1972 r. Pod Przemysłem powstanie także nowa kopalnia gazu ziemnego, a w Jarosławiu zbuduje się duże zakłady (2.400 robotników, głównie kobiet) przemysłu drzewnego. Już z tych dwu inwestycji widać, że obok celu gospodarczego — inwestycjom przyświecają cele społeczne: dostarczenie pracy kobietom oraz powstrzymanie migracji ludności. Winna ona w swoich rodzinnych stronach znajdować niezbędne zatrudnienie.

● Hobbysta dziejów lotnictwa

Nie był nawet pilotem, a strzelcem-radiotelegrafistą w III Pułku Myśliwsko-Bombowym w Poznaniu. W czasie kampanii wrześniowej p. Aleksander Dziamski latał na „Karasiach”. Na takiej właśnie maszynie został strącony pod Siedlcami. Już wtedy miał sporo zebranych materiałów o historii lotnictwa, które zdołał ukryć i zachować. Po wojnie zmartwił się jednak utratą dość sporej biblioteczki lotniczej. Przez 45 lat zdołał p. Dziamski z Poznania zebrać wiele unikalnych materiałów, szczególnie w formie wycinków prasowych. Ma więc szczegółowe materiały o Zwirce i Wigurze, Orlińskim, Kubali, Bajanie, Idzikowskim, o kobietach-pilotach, szybownikach, spadochroniarzach, baloniarzach. Ma specjalną teczkę o zawodach lotniczych oraz o słynnych katastrofach. Przed kilku laty p. Dziamski założył nową teczkę — „loty kosmiczne”. Historycy, przygotowując obchody 50-lecia polskich skrzydeł, postanowili skorzystać z materiałów poznańskiego hobbysty.



● Już małe stado żubrów w Bieszczadach

Ponad sześć lat temu wprowadzono w Bieszczady małe stadko żubrów. Nie wszystkim żubrom przypadły Bieszczady do gustu, a jeden z nich uciekł i odbył wielką, romantyczną wędrowkę, której towarzyszyli reporterzy, filmowcy. To był jednak wyjątek. Większość żubrów zamieszkała się, dochowała potomstwa. W tej chwili zanotowano już 15 młodych żubrów-cielaków lub podраста-

jącej żubrzej młodzieży. Łącznie stadko liczy 35 sztuk. Stadko przebywa głównie w rejonie Stuposiany — Tarnawa. Chociaż na okres zimowy przygotowano dużo siana w specjalnych „paśnikach”, żubry chętniej wygrzebią spod śniegu łądy jeżyn, ogryzają korę miękkich drzew — co martwi leśników, bo powoduje straty w drzewostanie. Jednak żubrom w Polsce wiele wolno.

● Skok do zimnej wody... z radości

Dwaj panowie ubrani w stroje wieczorowe przybyli w dość osobliwej porze jesiennej w ub. r. na teren basenu pływackiego w Szczawnie Zdroju. Wdrapali się na trampolinę i, tak jak stali — odważnie skoczyli do zimnej wody. W ten sposób obaj panowie uczcili zakończenie rocznych studiów i uzyskanie stopnia magistra inżyniera. Gdy zaczęli długie i męczą-

ce studia, wydawało się im to niemożliwe, dlatego powiedzieli — że jeśli skończą, skoczą z trampoliny do wody, bez względu na porę roku. Ponieważ jednak byli ludźmi (choć słownymi) kierującymi się rozsądkiem, przyprowadzili na basen pływacki dr. Jana S., który był obecny przy składaniu ślubowania, a teraz udzielił im niezbędnej, pierwszej pomocy lekarskiej.

● Jeden telewizor na 10 mieszkańców

Ilość telewizorów wzrosła w Polsce do prawie 3,4 miliona sztuk, a więc przypada jeden aparat na 9-10 mieszkańców. Ludność miejska jest już w Polsce liczniejsza od wiejskiej, ale na wsi notuje się tylko 752 tys. aparatów, gdy w miastach 2,63 miliona. Przewiduje w ilościach czynnych telewizorów województwo katowickie (574 tys.), a wśród miast prąduje Warszawa — 256 tys. odbiorników telewizyjnych, przed Łodzią — 80 tys.

● Wielkie inwestycje śląskiej nauki

Miasto Zabrze oddało do dyspozycji Polskiej Akademii Nauk 12-hektarowy teren miejski w sąsiedztwie „miasteczka akademickiego”. Stanie tu 20 pawilonów (niektóre stumetrowej długości), mieszczących hale i laboratoria, sale konferencyjne i urządzenia przeznaczone dla celów naukowo-badawczych i dydaktycznych. Ta jedna z największych w Europie inwestycji naukowych wiąże się z planowaną rozbudową siedmiu zakładów naukowo-badawczych, które są załącznikiem przyszłego potężnego Centrum Badań Naukowych na Śląsku.

● Odkrycie w krakowskim kościele św. Katarzyny

W zabytkowym kościele św. Katarzyny, na rogu ul. Augustyńskiej i Skałecznej, otworzono trzy krypty-grobowce zasłużonych w dziejach Polski rodów. Okazało się, że krypty w czasie wojny spłądrowali hitlerowcy, rabując cenne ozdoby, rozbijając marmurowe sarkofagi. W Krakowie odbył się pod koniec lutego symboliczny pogrzeb tych zmarłych przed setkami lat. W rozległych zabudowaniach poklasztornych urządzone będzie muzeum sztuki sakralnej Polski południowej. Warto

przypomnieć, że kościół św. Katarzyny wybudować kazał Kazimierz Wielki w 1363 r. dla Zakonu Augustianów.

● Odlew gigant

Dwa miesiące przygotowywała się załoga huty im. F. Dzierżyńskiego w Dąbrowie Górniczej, by przygotować jeden z największych odlewów, jakie kiedykolwiek wykonano w polskim hutnictwie. „Kawałek” żeliwa miał służyć jako stojak do „walcarki pielgrzymowej”, którą buduje się dla huty „Batory”. Odlew ważył 220 ton i udał się znakomicie.

● Sandomierzanie nie gorsi

Najbardziej aktywnym środowiskiem prowincjonalnym w Warszawie są Nowosądeckanie, którzy już wiele lat temu utworzyli własny klub, a także posiadają niedaleko ul. Marszałkowskiej widoczny, własny... neon (Ziemia Sąddecka). Drugim takim klubem niejako terytorialnym — jest klub Sandomierzan. Spotykają się w Domu Kultury przy ul. Elektoralnej w Warszawie i debatują nad tym, jakby ich i tak sławne miasto uczynić jeszcze bardziej znanym. Klub zaszczyca swą obecnością Jarosław Iwaszkiewicz, który zresztą w swoich powieściach wielokrotnie do Sandomierza wraca.

Jednym ZDANIEM

● W Krakowie były różne planty, a nowo powstające otrzymają nazwę „Piastowskie” i będą miały 2 km długości.

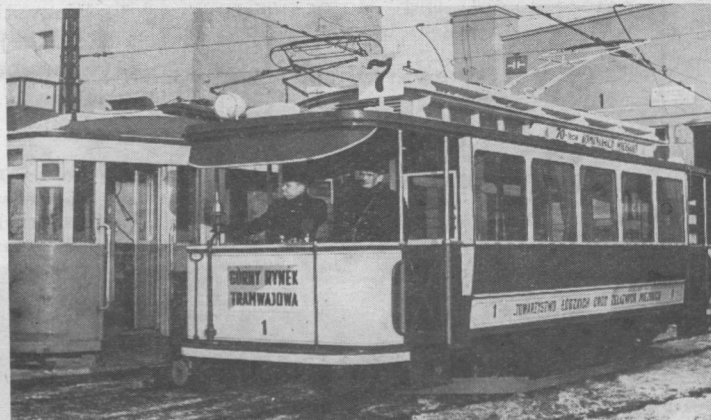
● Na Wybrzeżu Gdańskim bawili brazylijscy businessmeni oraz dziennikarze zajmujący się sprawami ewentualnych dalszych zakupów polskich statków.

● Według zapowiedzi prasowych Opera Poznańska udaje się ze „Straszny Dwojem” i „Dama Pikową” do Liège, a balet opery jedzie do Strasburga z „Tempus Jazz”, „Wariacjami 4:4” oraz „Ognistym Ptakiem”.

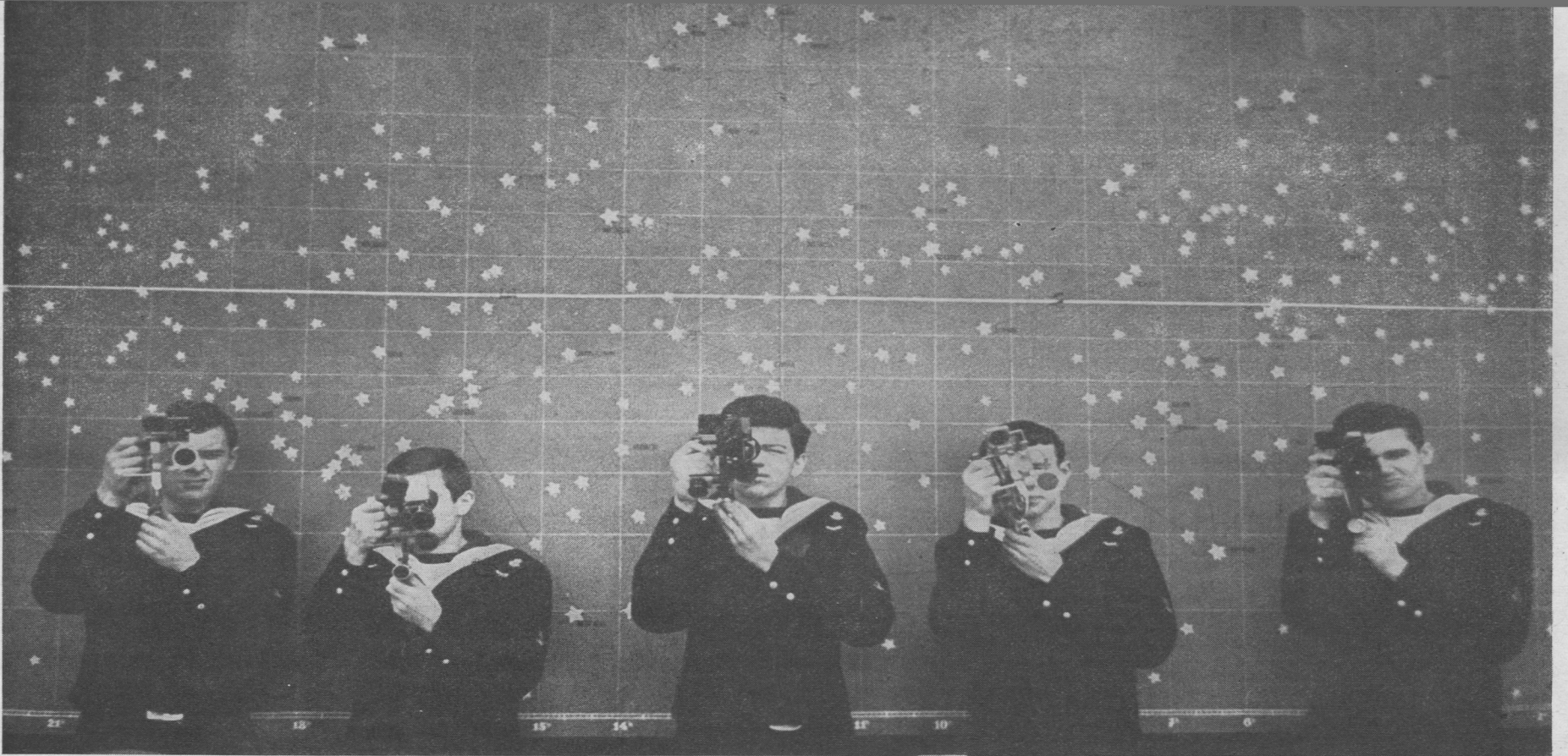
● Około 20 lutego bilans grypy był w Polsce liczbowo imponujący, bo zachorowało ponad 2,5 miliona osób.

● Jeden z najstarszych i najbardziej zasłużonych klubów fabrycznych KSZO-Ostrowiec (czołowi pływacy) obchodził 40-lecie swego istnienia.

● Władze porządkowe w Szczecinie wprowadziły karne kursy dla przechodniów łamiących przepisy ruchu drogowego, podobnie jak dla bardzo złych kierowców.



Łódź nazywano przez długie lata pogardliwie „wielką kilkuset tysięczną wsią” i było w tym trochę racji. Drugie największe polskie miasto powstawało dla przemysłu włókienniczego, a fabrykanci nie dbali o to, by pięknie zaplanować całą urbanistykę. Im wystarczyła ul. Piotrkowska, wielokilometrowa — i na niej przed 70 laty ruszyły tramwaje. Powojenna Łódź, mocno już przebudowana, obchodzi uroczyste siedemdziesięciolecie pasowania jej na miasto z tramwajami



Gwiazdy błyszczą wspaniale na sztucznym niebie, a sekstans w rękę. Można sobie wyobrazić, że płynie się na bezbrzeżnym oceanie

INŻYNIEROWIE MORZA

La marine marchande polonaise est un sujet qui revient souvent dans les pages de notre hebdomadaire. Ce n'est pas étonnant, puisque c'est là une des plus grandes réussites dues à l'essor économique et industriel de la Pologne d'aujourd'hui. A l'heure actuelle, la Pologne occupe la 18^{ème} place au monde en ce qui concerne le tonnage de sa flotte marchande, avec près de deux millions de tonneaux. Cette flotte est jeune et dynamique — 82 pour cent des navires sont à moteur et les deux grandes compagnies maritimes polonaises —

Polskie Linie Oceaniczne et Polska Żegluga Morska — desservent 34 lignes régulières allant vers les grands ports des cinq continents. L'âge moyen d'un cargo polonais est de 9 ans et plus de la moitié de la flotte n'a pas 5 ans. Ces navires ont transporté l'année dernière plus de 15 millions de tonnes de marchandises de toutes sortes. Grâce au développement de l'industrie navale, la Pologne a dépassé le Japon en ce qui concerne la production des bateaux de pêche et occupe actuellement la première place au monde et la quatrième pour l'exportation de ces unités.

Toute cette immense armée de navires et de bateaux sillonnant les mers et les océans exige des marins et des officiers à la formation professionnelle très poussée — ce ne sont plus des loups de mer, ce sont de véritables spécialistes, des ingénieurs de la mer ayant terminé des études durant plus de quatre ans, sans compter les années de lycée, car pour servir aujourd'hui dans la marine polonaise, il faut être bachelier. Le métier de marin n'est plus, aujourd'hui une profession pour amateurs d'avantures et d'exotisme, c'est un métier pour gens studieux.

POLSKA jest już w pełnym tego słowa znaczeniu państwem morskim, a w niedalekiej przyszłości, po zrealizowaniu zakrojonych na szeroką miarę planów dalszej rozbudowy floty handlowej i rybackiej, portów, ich zaplecza gospodarczego i przemysłu okrętowego — zajmie poczesne miejsce wśród światowych potęg morskich.

Już obecnie tonaż polskiej floty osiągnął około 1,7 miliona ton nośności (DWT) i według statystyk brytyjskiego Lloyd's Register of Shipping za rok ubiegły — flota polska zajmuje 18 miejsce w świecie. W bieżącym roku dojdzie do 2 milionów ton nośności. Warto przy tym zaznaczyć, że średni wiek statku pod polską banderą nie przekracza dziewięciu lat, a połowa bez mała tych jednostek liczy nie więcej niż pięć lat, przy czym statki o napędzie spalinowym stanowią — jest to więc flota młoda i nowoczesna — 82% stanu. Dwaj wielcy armatorzy: Polskie Linie Oceaniczne z Gdyni i Polska Żegluga Morska ze Szczecina obsługują obecnie 34 linie regularne z portów polskich do portów pięciu kontynentów.

Rozwinęły się również bardzo w zasięgu ogólnoświatowym przewozy trampowe, zwłaszcza dzięki wprowadzeniu do eksploatacji kilkunastu nowoczesnych wielkich masowców. W Kraju konstruuje się jednostki o 50 tys. ton nośności, a czynione są przygotowania do budowy statków o tonażu 100 tys. DWT.

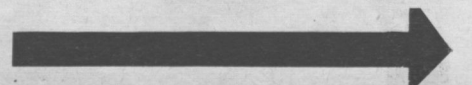
Ogólne przewozy polskiej floty handlowej przekroczyły w ubiegłym roku 15 milionów ton, a w roku bieżącym osiągną niewątpliwie 16,5 miliona.

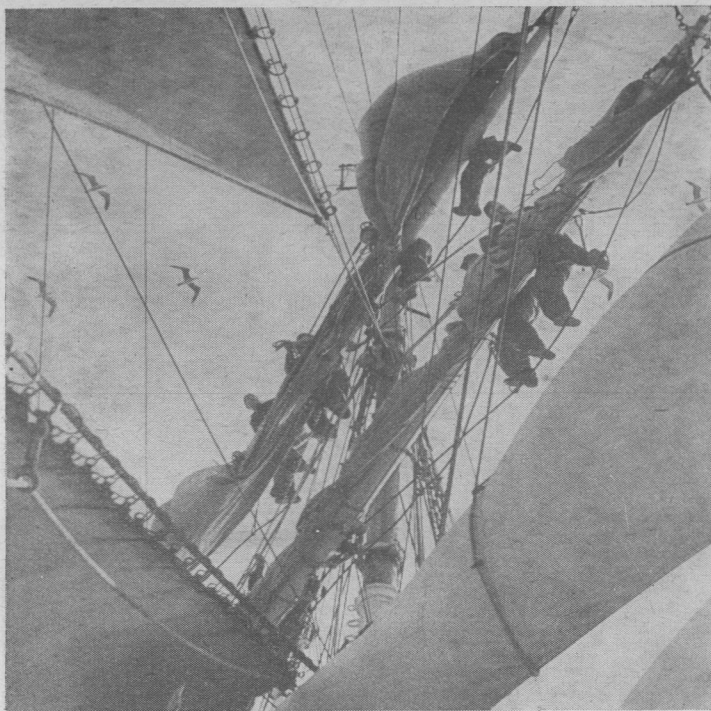
Nowy turbinowy parowiec pasażerski „Stefan Batory” od najbliższej wiosny zastąpi na transatlantycznej linii pasażerskiej do Północnej Ameryki wysłużonego „Batorego” i będzie kontynuował jego piękną tradycję, tak zwłaszcza cenioną przez Polonię Kanaadyjską i Amerykańską.

Wzrosła także poważnie flota połowowa. Z końcem ubiegłego roku morska flota rybacka doszła do stanu 378 jednostek pełnomorskich (w tym 153 dalekomorskich, wysoce uprzemysłowionych statków połowowo-przetwórczych) nie licząc setek kutrów bliższego zasięgu. Zajmuje ta flota pod względem wielkości łącznego tonażu 8 miejsce w świecie.

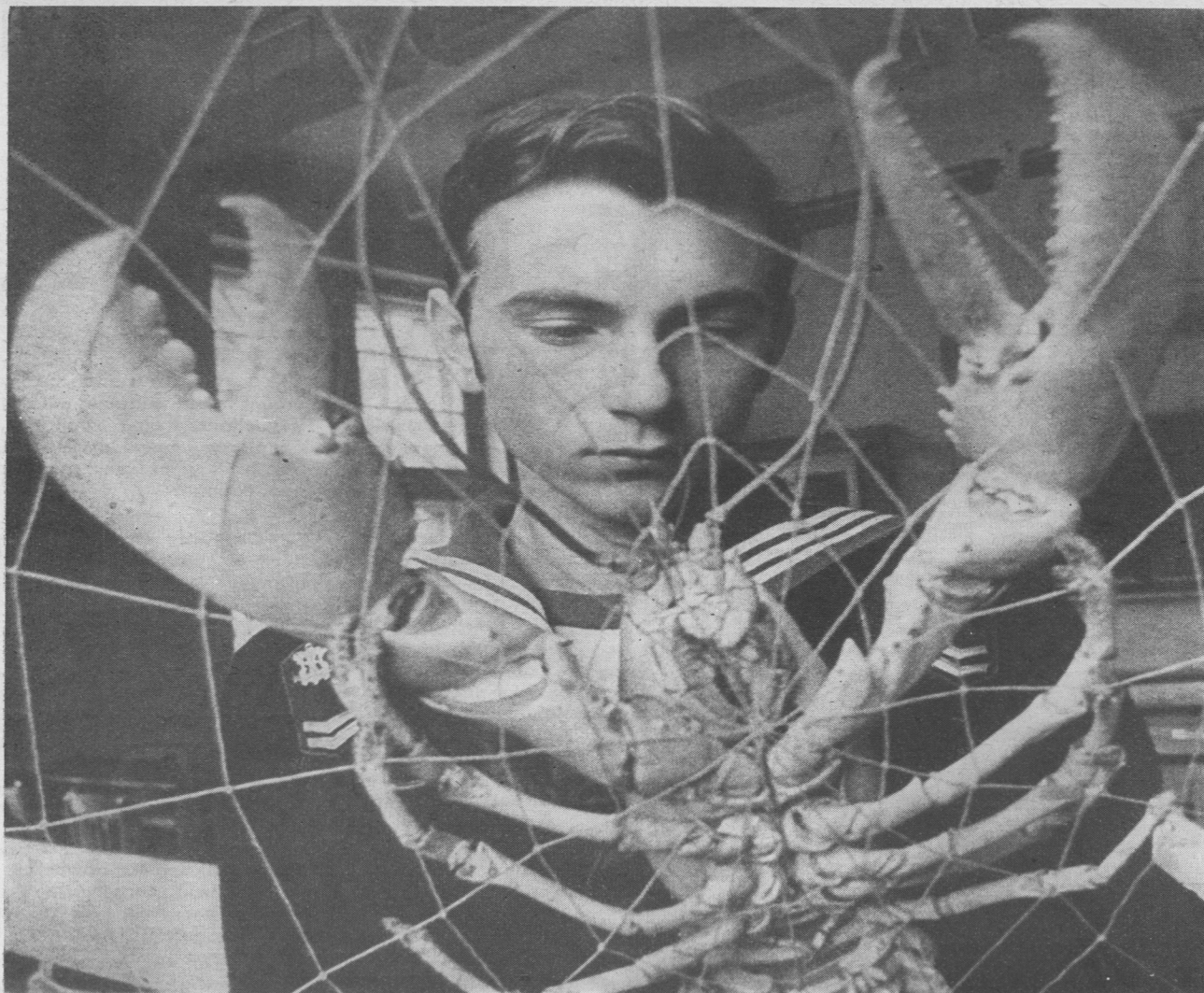
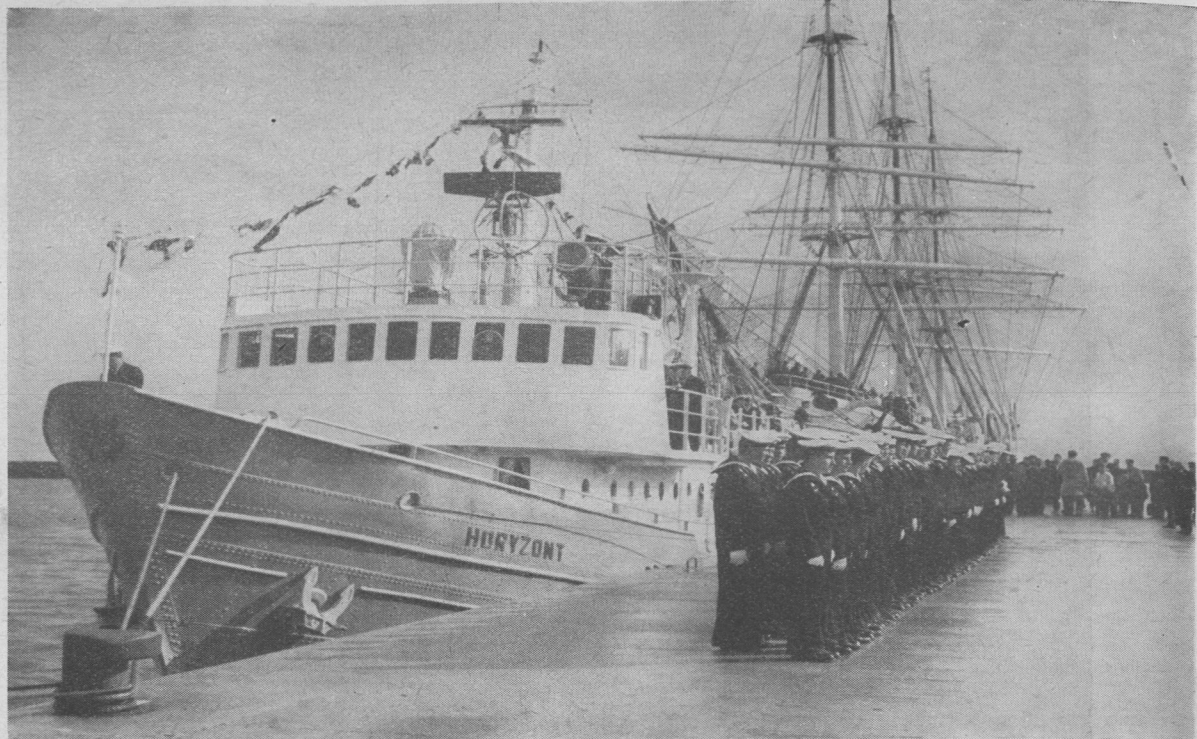
Większość polskich jednostek handlowych i rybackich została wyprodukowana w stoczniach krajowych. Według danych wzmiankowanego już Lloyd's Polska zajmuje 1 miejsce w świecie pod względem tonażu produkowanych statków rybackich (wyprzedziła ostat-

To jest ich szkoła — stary gmach już pełen dobrych, polskich tradycji morskich



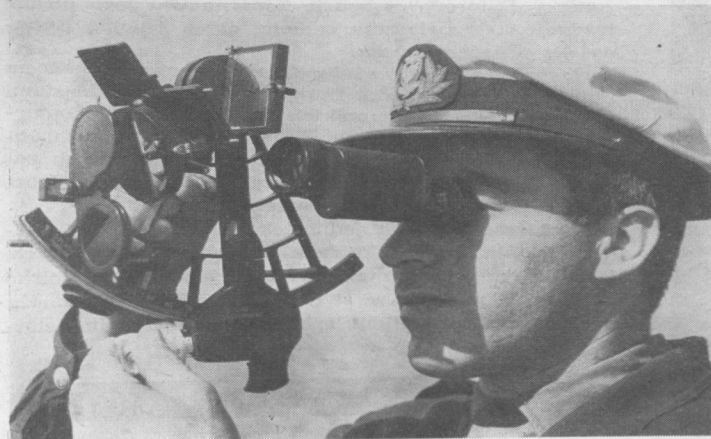


Uczniowie Szkoły pracują na rejach „Daru Pomorza”

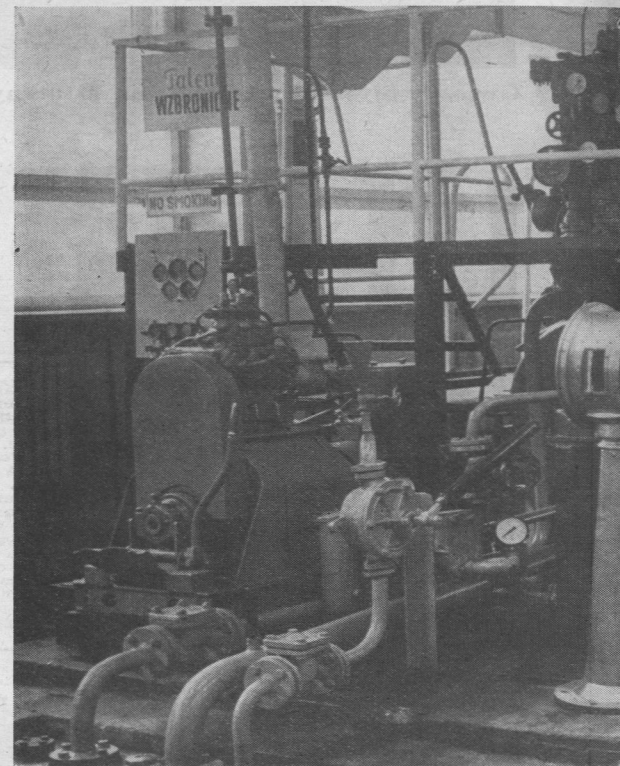


Wielki krab przywieziony przez kolegów z mórz południowych interesuje elewa Gołaszewskiego

Maciej Głuski daje sobie dobrze radę z sekstansem



Energia, młodość i spojrzenie wilka morskigo... to może przyszły kapitan?...



Maszynownia szkolna jak na prawdziwym statku

INŻYNIEROW

nio w tej dziedzinie taką potęgę przemysłową jak Japonia) i 4 miejsce w świecie w zakresie eksportu statków.

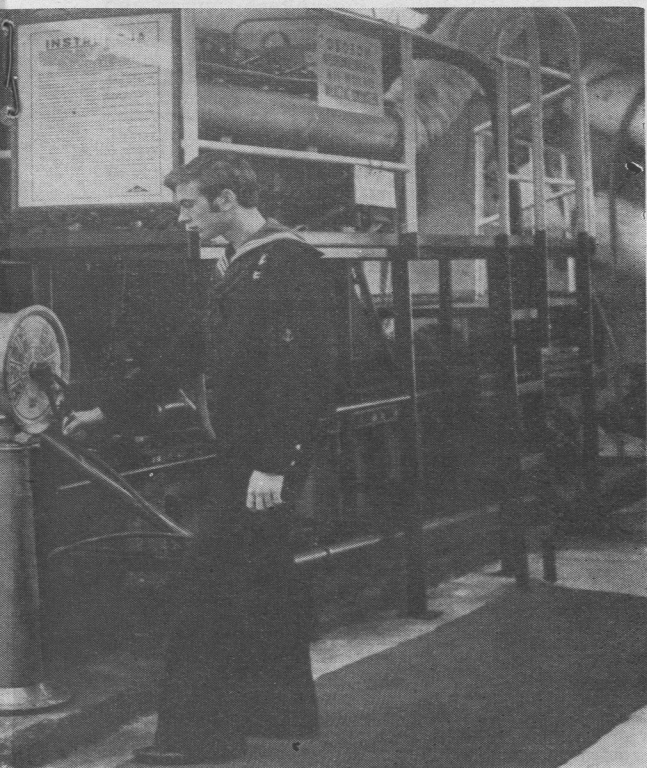
Mając na uwadze właściwe wykorzystanie miliardowych wartości zaangażowanych w gospodarkę morską, a zwłaszcza w dużą i nowoczesną, częściowo już zautomatyzowaną flotę handlową i rybacką (w skład tej ostatniej wchodzić przecież całe pływające fabryki: tawlery-zamrażalnie i tawlery-przetwórnice oraz dwa pływające miasteczka — wielkie bazy bogato wyposażone w urządzenia przetwórcze, socjalne i usługowe) — polski resort żeglugi przywiązuje szczególne znaczenie do zapewnienia swej flocie kadr na odpowiednio wysokim poziomie.

Te kadry, a zwłaszcza ludzie pełniący na statku funkcje kierownicze: kapitanowie oraz oficerowie z pionu nawigacyjnego, mechanicznego i gospodarczego są przecież odpowiedzialni za statki, które z pełnym ładunkiem warte są często miliony franków czy dolarów.

Stąd też wywodzi się stała tendencja podwyższania poziomu szkół morskich wszelkiego szczebla. Pomijając nie związane bezpośrednio z tym tematem szkoły budowniczych okrętowych, adeptów żeglugi śródlądowej oraz przetwórstwa rybnego, do morskich zakładów szkolnych należy m.in. 5-letnie **Technikum Rybołówstwa Morskiego w Kołobrzegu**, kształcąca na



Znacek Wyższej Szkoły Morskiej wzbudza dumę



tku, tylko... pokład się nie kołysze

Foto: CAF i ARCHIWUM

WIE MORZA

razie specjalistów morskiego rybołówstwa kutrowego. W przyszłości stanie się ono także szkołą kwalifikowanych kadr kierowniczych (bez dyplomu inżyniera) dla mniejszych jednostek żeglugi kabotażowej i rybackiej bliższego zasięgu. Do tych szkół należą także **Zasadnicze Szkoły Rybołówstwa Morskiego w Darłowie i Swinoujściu**. Kształcą one młodzież na rybaków morskich (kutrowych) lub na marynarzy mechaników (motorzystów kutrowych). Tu dla wyjaśnienia należy dodać, że nie ma w pionie polskiego szkolnictwa morskiego szkół przygotowujących szeregową kadry marynarki handlowej, ponieważ rekrutują się one przede wszystkim spośród obeznanych już z morzem rezerwistów Marynarki Wojennej.

Szkolnictwo morskie ma w Polsce **dwie Wyższe Szkoły Morskie — w Gdyni i Szczecinie**. Rok akademicki 1969/70 r. rozpoczyna słuchacze tych szkół z prawem nabywania tytułów **inżyniera określonych specjalności morskich** lub dyplomowanego intendenta okrętowego. Zmieni się stąd nie tylko ranga, ale i rola tych uczelni. Obok szkolenia praktyków morskich, uczelnie te będą także rozwijały prace naukowo-badawcze i doświadczalne w wielu problemowych dziedzinach, co zwiększa oczywiście wymagania stawiane także kadrcze naukowo-pedagogicznej tych uczelni.

Szkoła Gdynska dysponuje wydziałami: **nawigacyjnym** (transport morski statkami handlowymi), **mecha-**



Zeby zostać kapitanem — trzeba dokładnie znać wszystkie twarde roboty marynarskie

nicznym (eksploatacja siłowni okrętowych), **elektrotechniki i elektroniki**, wreszcie — **administracyjnym** (intendentyury okrętowej). **Uczelnia Szczecińska** jest podzielona na wydziały: **nawigacyjny** — kształcą oficerów marynarki handlowej lub oficerów rybołówstwa morskiego oraz **mechaniczny** — na wzór gdyńskiego.

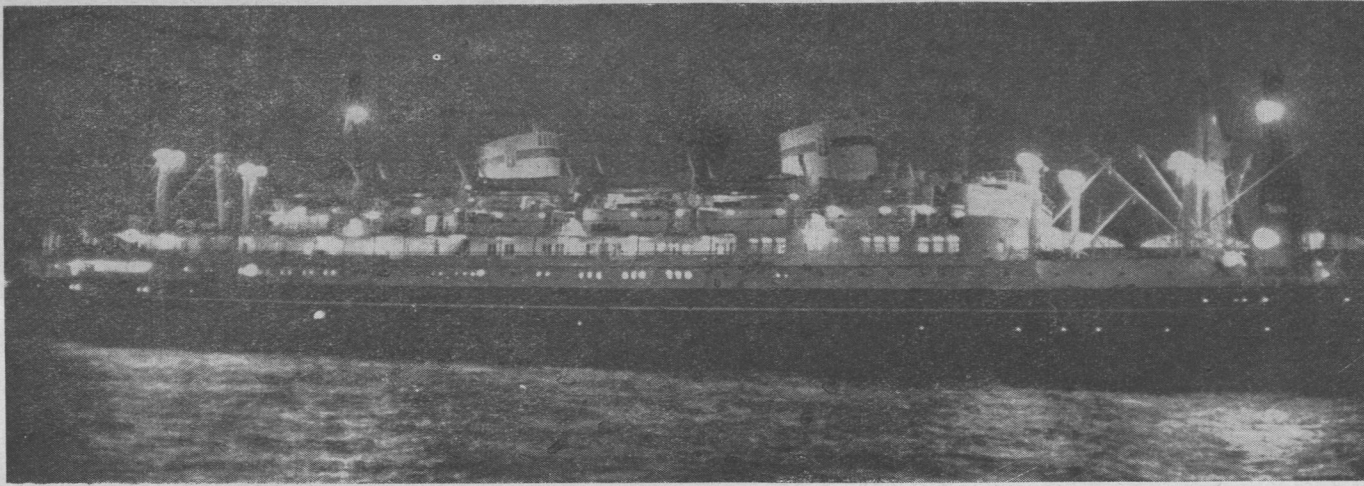
Kandydaci ze świadectwem maturalnym, z dobrym stanem zdrowia, po pomyślnym złożeniu egzaminów wstępnych z matematyki, fizyki (lub geografii dla intendentów) i języka nowożytnego, poddawani będą — jak dotąd — wstępnej próbie przydatności do pracy na morzu w rejsie kandydackim na statku szkolnym. Przyszłych nawigatorów czeka z tej okazji piękny, ale dobrze „dający w kość” rejs na sławnej Białej Fregacie — „**Darze Pomorza**”, wielkiej siostrze małej „**Opty**” Leonida Teligi.

Ale czas nauki zostaje teraz przedłużony z trzech do czterech i pół roku, przy czym dwa pierwsze lata poświęcone zostaną głównie opanowaniu przez słuchaczy przedmiotów ogólnokształcących i ogólnotechnicznych, dalsze natomiast — na opanowanie i ugruntowanie przedmiotów specjalistycznych oraz wiedzy praktycznej. Praktyka morska zostanie zwiększona z dotychczasowych 2- do 3 semestrów. Jeden z nich spędzają słuchacze na „**Darze Pomorza**”, a drugi na którymś ze szkolnych statków instrumentalnych (w celu opanowania znajomości radaru oraz innych urządzeń nawigacyjnych), trzeci zaś — na statkach handlowych PLO lub PZM, co już jest konkretną praktyką. Szczęściarze w czasie takiej szkolnej praktyki mają szansę obejrzenia sporego kawałka świata, docierają, jak to miało miejsce w ubiegłym roku, nawet do portów Dalekiego Wschodu i Australii.

W programie szkoły znajdzie się także zupełnie nowy przedmiot — „**nauka o pracy na morzu**” — wpa-jający tak cenną i trudną, jak już wspomniano na wstępie, umiejętność dowodzenia ludźmi i współzycia z nimi. Położy się także ogromny nacisk na naukę obcych języków (i dziś zresztą docenianą) i w tej intencji na ostatnim roku studiów jeden z „normalnych” przedmiotów, poza lektoratem, będzie już wykładany wyłącznie w języku angielskim. Przewiduje się też **pewną ilość miejsc dla kandydatów z Polonii zagranicznej, podobnie jak to jest na innych uczelniach krajowych**.

Oczywiście szanse zwiększenia zasobu wiedzy i uzyskania tytułów naukowych, jakie zdobędą przyszli absolwenci nowo utworzonych wyższych szkół morskich, muszą stać się także udziałem tych, którzy już pływają po morzach, często jako oficerowie czy kapitanowie, a legitymują się dyplomem dotychczasowych 3-letnich szkół morskich. Danie im tej szansy dyktują nie tylko względy prestiżowe, drażliwość sytuacji, w której znajdują się nieutytułowani kapitanowie wobec utytułowanych podwładnych — ale także dobrze zrozumiany interes polskiej floty. W trosce o podniesienie poziomu czynnej kadry oficerskiej stworzone zostały więc i dla niej uzupełniające studia zaoczne wyrównujące te niezawinione braki.

Bohdan RUDNICKI



POŻEGNANIE STATKU-KOMBATANTA

„Batory” w londyńskim porcie Tilbury ● Uroczystość na pokładzie ● Zainteresowanie angielskiej prasy i telewizji ● Co o weteranie pisała miss Maclean ● Serdeczne rozstanie

„Batory” — to nie tylko tradycja polskiej marynarki handlowej. Przed laty, gdy we włoskiej stoczni Montefalcone podniesiono na nim polską flagę, był to bez przesady zewnętrzny wyraz aspiracji morskich narodu. Od tego czasu wiele się zmieniło, a po oceanach pływa więcej niż 2 miliony BRT różnych statków zbudowanych w polskich stoczniach. Przed ponad trzydziestu laty jednak posiadanie najpiękniejszego liniowca na Bałtyku było nie tylko obiektywną potrzebą, ale także ambicją.



DY WYBUCHŁA II wojna światowa, „Batory” rozpoczął swój bohaterski okres kombatantki. Pod gradem bomb woził wojsko z Francji do Wielkiej Brytanii. Niektóre bomby wybuchły bardzo blisko; tak blisko, że kaleczyły burty, choć nigdy nie zdołały go okaleczyć. Statek doczekał się bowiem od Anglików określenia „lucky ship” (szczęśliwy okręt) i rzeczywiście w czasie tej okrutnej wojny morskiej był niewiarygodnym szczęściarzem. Przewoził także oficerów „Wolnej Francji”, a także transport 480 dzieci brytyjskich ewakuowanych do Australii. Ta akcja, bardzo w owym 1940 r. niebezpieczna, zjednała mu sympatię szczególną i niezwykle trwałą, jak się niedawno okazało.

Dawni mali pasażerowie, dziś ludzie w latach trzydziestych, przybyli w liczbie dwustu do londyńskiego portu Tilbury — żeby się ostatni raz spotkać z „Batorym”, który schodzi z regularnych linii transoceanicznych. Pożegnania odbyło się bez angielskiej rezerwy i wstrzeźliwości. Na pewno była w tym zasługa miss Mety Maclean, która dumie polskiej marynarki handlowej poświęciła swą książkę z tytułowaną nieco po pensjonarsku „Rozśpiewany okręt” (Singing ship).

Tytuł zresztą tylko z pozoru jest nonsensem, zwłaszcza że chodziło o trudną i otaczaną ścisłą tajemnicą dużą operację ewakuacyjną; rzeczywiście dzieciom brytyjskim stworzono na polskim statku coś na kształt internatu, a stosunki czasem panowały zupełnie rodzinne. Książka, o której mowa ukazała się w tłumaczeniu na język polski Irenei Bradyńskiej nakładem „Veritas” w Londynie (1963 r.).

HITLEROWSKI WYWIAD WĘSZYŁ

Wiele osób pochodzących z brytyjskich dominiów szukało w Londynie pracy. Wśród nich znalazła się „pół-Australijka” miss Meta Maclean, która chcąc wrócić do Australii trafiła do organizacji CORB, które to inicjały można by nieco dowolnie przetłumaczyć na „zarząd organizacji przyjmowania dzieci w krajach zamorskich”. Kiedy jednak w biurze CORB-u oświadczyła, że chce do Australii, gdyż zna panujące tam stosunki i mogłaby się w komitecie przydać, zbyto ją niczym. Zapytano zaskakująco, czy nie pojedzie z dziećmi do Kanady. Po paru dniach napisano list, że chwilowo w ogóle akcje ewakuacji wstrzymano. Później otrzymała jednak wezwanie telefoniczne. Na miejscu zobowiązano ją do ścisłego zachowania tajemnicy i zaproponowano udział w charakterze wychowawczyni w rejsie do Australii.

Cała ta konspiracja nie była tak bez sensu. Wywiad hitlerowski ciągle weszły za informacjami o odpywających statkach, nie szczędząc również tak „strategicznego” materiału, jakim były brytyjskie dzieci. W tym samym czasie, gdy „Batory” płynął przez Ocean Indyjski ze swym żywym ładunkiem, na Atlantyku hitlerowski U-bot zatopił kilkadziesiąt dzieci ewakuowanych na

statku „City of Benares”. Ten los nie spotkał „lucky ship”. Jedną z łodzi podwodnych, która zaciła się, by ułokować torpedę, została zatopiona przez wojenne okręty brytyjskiego konwoju. Na Oceanie Indyjskim zaś, kluczając między wspomnianymi statkami, uchodził przed nieprzyjacielskim piratem podwodnym.

WZRUSZAJĄCY REPORTAŻ

Książka miss Maclean jest doprawdy wzruszająca, zarówno swoim tonem patriotyzmu „Brytyjskiej Wspólnoty Narodów”, jak również tą narastającą na kartkach książki, nieklamana, prawdziwie szczerą sympatią do Polaków. Jest tam o przyjaźni zadzierzgniętej z „królem statku”, jak nazywali kapitanami mali Anglicy, Szkoci, Walijszczy, z „Panem Szeferem”, czyli ochmistrem, i całą załogą, polskimi marynarzami. No, ale trzeba sobie przypomnieć, że w tamtych latach Brytyjczycy nękani nalotami bombowymi przekonywali się, że ich prawdziwymi aliantami w wojnie przeciw Niemcom byli właśnie Polacy.

Później poszło to w zapomnienie, ale w chwili gdy Anglosaskiej pisała swój brytyjsko-polski reportaż, patriotyczny wszystko znajdowało się w stadium szczytowym. Nie liczyły się rozbieżności koncepcji urządzania świata po wojnie, zakreśły wpływowo, a wspólny wróg — hitlerowskie Niemcy. W tym sensie „Rozśpiewany okręt” jest pięknym dokumentem autentycznych nastrojów, które w tej dziecięcej społeczności przetrwały długo. W trakcie uroczystości w Tilbury dawni mali pasażerowie odśpiewali, jak za dawnych czasów na Indyjskim Oceanie, „Rotę” po angielsku. Dyrygowała oczywiście miss Meta Maclean.

Pisze ona w swoim reportażu:

„...dzieci dowiedziały się z czasem, że okręt na którym płyną, nie jest byle jakim statkiem, i że „Batory” dużo pływał po Bałtyku, że przewoził wojsko z Europy do Anglii. Przetrzymawszy nieustanne bombardowanie, cudownie wyszedł z wszystkich opresji, wynosząc z nich tylko nieszkodliwe szramy i zadrapania od wybuchów blisko padających bomb. Królewska Marynarka, chcąc wyróżnić okręt, powierzyła mu przewiezienie cennego skarbu — dzieci wojen — daleko od północnych mórz i łańców. Admiralicja wzięła pod uwagę, że tak kapitan, jak wszyscy marynarze wiedzieli, co to znaczy stracić dom, żony, dzieci — więc wysłała celowo okręt na południowe morza, żeby dać zasłużony wypoczynek dzieciom, lecz smutnej załodze... Polscy marynarze pochodzili z różnych sfer, począwszy od arystokratów (oczywiście nie obyło się bez opisu autentycznego polskiego hrabiego — przyp. red.), skończywszy na chłopskich synach. Ale wszyscy oni, tak arystokraci o szlachetnych rysach twarzy, smukli i zgrabni, dobrze ułożeni, jak i ciężko ciosani profesory marynarki, odznaczali się umiejętnością obchodzenia się z dziećmi i zdradzały talent zaskarbiający sobie ich przyjaźni... zachowali w wieku dorosłym zdolność bawienia się jak dziecko, byli połączeniem ojca i kolegi”.

No, nie dziwny się osobie wychowanej w atmosferze angielskich zasad pedagogicznych, polegających na wstrzeźliwości, rezerwie, chłodzie i nieokazywaniu uczuć. No, ale niektóre piskusy małych Szkotów były zgola zaskakujące. „Pan Szefer” czyli p. Maćkowiak (tak chyba powinno brzmieć nazwisko podane przez miss

Maclean jako „Macovik”) w czasie postoju w Cape Town przyłapał ich, jak chcieli wymieniać... sztuciec ze znakami „Batorego” na pomarańcze.

MALUCHY POZNAJĄ POLSKĘ

Transport 480 dzieci był oczywiście ładunkiem niezwykłym, a troskliwe w sprawach pedagogicznych koleżanki autorki „Rozśpiewanego okrętu” dbały, by dzieci znajdujące się w niezwykłych warunkach czymś zająć. Urządzono na przykład koncert pieśni szkockich, walijskich, angielskich, na które zaproszono polskich marynarzy. Jeden z nich:

„...Śpiewał ładnym tenorem, i zwrócił się do mnie z uśmiechem, pokazując na dziewczynkę w uroczym sukience, które z blizczącymi oczyma ciągnęło go na zarezerwowane miejsce.

— Moja opiekunka — szepnęła zachwyceni. Opiekunka zaś pod koniec wieczoru zdrzemnęła się, oparłszy wygodnie na umundurowanym ramieniu, więc Polak zaniósł ją delikatnie do kabiny i oddał w ręce wychowawczyni”.

Miss Maclean to na pewno dobry człowiek, chociaż wydaje się, że można dostrzec w niej troszeczkę postawy „Salvatory Army” (Armii Zbawienia). No, ale nic nie szkodzi, napisała na prawdę ciekawy dokument. W czasie pożegnania z „Batorym” w porcie londyńskim Tilbury była otoczona serdecznością dawnych swoich wychowanków. Jeśli zaś jej „polskie zasługi” wymienił mamę, trzeba podkreślić — że ona to po raz pierwszy przetłumaczyła „Rotę” Marii Konopnickiej na język angielski. Było to ciekawe wydarzenie, a oceny wartości tłumaczenia dokonano kolektywnie. Główną rolę grał tu kapitan „rozśpiewanego okrętu”. Nawiasem mówiąc, naukę „Roty” po angielsku gromady dzieci brytyjskich połączono z wykładem poglądowym historii stosunków polsko-niemieckich, bez czego zresztą nie zrozumieliby chyba słów „Roty”. Oto, jak to wygląda w relacji miss Maclean o wykładzie Mariana Słabosza dla dzieci:

C'est la vie

150-LETNI MIÓD

W okolicy Sokółki na Białostocczyźnie znaleziono kilkusetletni pień dębu, do połowy zasypany ziemią. Można sobie wyobrazić zdziwienie znalezców, gdy we wnętrzu pnia dostrzegli gliniane naczynie zawierające zaschniętą ciecz. Znalezisko przekazano białostockiemu muzeum, gdzie ustalono, że ową zeschniętą cieczą jest... miód, liczący co najmniej 150 lat. Obecnie trwają badania mające na celu dokładniejsze określenie wieku miodu.

KURS DOBRYCH MĘŻÓW

Zarząd Miejski Ligi Kobiet w Piotrkowie rozpoczął jako jeden z pierwszych w kraju półroczny kurs gospodarstwa domowego dla chłopców. Kurs obejmuje naukę takich

„Wyjaśnił, że Piastowie, o których w pieśni mowa, byli w dawnych czasach wielką dynastią, że w 1906 roku Niemcy po wieloletnim panowaniu nad Polską wydali akt o wywłaszczeniu Polaków z ziemi, zmuszając ich do sprzedaży swych posiadłości. W tym samym czasie został wydany dekret, że dzieci zamieszkałe w tym zakresie mają być wychowane na Niemców z ducha, języka i uczuć. Język ojczysty został zabroniony w szkołach”.

Dowiedzieli się dzieci przy tym, że lubiany przez nich „Pan Szefer” był dzieckiem w tych czasach, germanizowano go.

„Czy... czy oni to samo zrobią z naszymi tatusiami? — spytał jeden malec”.

Odpowiedź Polaka z „Batorego” brzmiała pogodnie: „Świat znów będzie piękny, ludzie będą znów dobrzy dla siebie i będzie wesoło, radośnie. A teraz dziękuję wam, żeście tak grzecznie słuchały opowiadania o mojej Ojczyźnie”.

„Lucky ship” dobił szczęśliwie do trzech portów przeznaczenia. Jeszcze polskie stewardessy „Batorego” przed dotarciem do Australii wyhaftowały sztandar dla pokładowej drużyny skautowskiej, jeszcze były przygotowania wielkiego przyjęcia pożegnalnego. Dzieci schodzące na ląd australijski pożegnały załogę odśpiewaniem angielskiej „Roty”, no i jedenastotygodniowy rejs zakończył się.

Polak z kraju w tym okresie straszliwie terroryzowanego mógłby westchnąć myśląc o pewnych porównaniach. Okręt, duma polskiej marynarki handlowej, wiózł transport dzieci brytyjskich, a polskie w tym samym czasie w nieludzkich warunkach wyrzucono brutalnie z ich domów, z ich Kraju, wywożono do Niemiec. Część z nich, według wiarygodnych szacunków około 20 tysięcy, wyselekcjonowano do zniemczenia, czego doskonałym przykładem jest literacki pamiętnik takiego „janczara” Alojzego Twardeckiego. Niewiele później od czasu, gdy „lucky ship” jechał zygżakiem przez morza i oceany, by unikać hitlerowskich U-botów, polskie dzieci z Zamojszczyzny nie mogły zygżakiem ująć śmierci. Ładowano je do wagonów towarowych, gdzie marzyli na śmierć. Można by się także zadumać nad losem tych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, którzy akurat byli w wieku tych małych 480 pasażerów „Batorego”. Na polach śmierci wokół Oświęcimia oczywiście nie było takich opiekunek, jak miss Maclean.

W każdym razie trzeba życzyć dobre wszystkim ludziom dobrej woli. Pasażerowie „lucky ship” okazali się także ludźmi dobrej pamięci. Aż 200 ich przybyło, by wraz ze swymi wychowawcami pożegnać statek, na którego pokładzie przeżyli największą przygodę swego dzieciństwa. Byli także starzy marynarze, kilku byłych kapitanów „Batorego”, był ambasador PRL Jerzy Morawski, byli przedstawiciele miejscowego społeczeństwa brytyjskiego. Były wreszcie toasty, było oglądanie wyblakłych fotografii, a wszystko w bliskach fletów fotoreporterskich i reflektorów filmowców. Dziennikarze mieli co pisać w czołówkach swoich gazet.

„Batory” schodzi z regularnych rejsów transoceanicznych — smutne to rozstanie z tym tak prawdziwie polskim statkiem, choć zbudowanym we włoskiej stoczni. Miejmy też nadzieję, że w przyszłości żaden polski statek marynarki handlowej nie będzie miał tak burzliwego zyciorosu. Nie wątpimy zaś, że nowy flagowy statek polskiej marynarki handlowej „Stefan Batory” stanie się godny tradycji i będzie w czasach pokoju także „lucky ship”, ale nigdy nie będzie żadnych dzieci ewakuował.

umiejętności, jak przyszywanie guzików, robienie pętełek, zycie spodni, umiejętność gotowania określonych potraw itp.

WILLA NA WYSOKI POLYSK

W jednym z dolnośląskich miasteczek państwo X, prowadzący doskonale prosperujące gospodarstwo warzywno, stali się posiadaczami pięknej willi. Dom urządzono „na wysoki polysk”. Aby go jednak obejrzeć, rodzina państwa X, sąsiedzi i znajomi muszą przedtem jak w muzeum u progu założyć filcowe kapcie. Willa służy bowiem do oglądania. Właściciele zadowolają się używaniem jednego tylko pokoiku, leżącego najbliżej drzwi wejściowych, oraz kuchni, urządzonej w... piwnicy!

IL Y A 24 ANS-AUX PORTES DE BERLIN

Il y a vingt-quatre ans, au début du mois de février 1945, les unités de la Première Armée Polonaise se trouvaient face au bastion de Poméranie que les hitlériens avaient construit afin de défendre Berlin contre les éventuelles attaques venant du nord. Le bastion de Poméranie était constitué de tout un système de blockhaus en béton s'étirant sur plusieurs dizaines de kilomètres, de champs de mines derrière lesquels étaient regroupés des centaines de milliers de soldats de la Wehrmacht qui avaient pour ordre de défendre la région à tout prix. La Poméranie était considérée à juste titre comme une des clés des portes menant à Berlin. L'Armée Rouge et les forces polonaises considéraient cette région comme ayant une importance stratégique primordiale car de là pouvait partir à tout moment une contre-offensive des troupes hitlériennes contre les armées alliées tentant de prendre la capitale hitlérienne dans une tenaille gigantesque. Le sort de la guerre ne dépendait plus naturellement du bastion de Poméranie, mais le fait que les Allemands avaient là une forte réserve de troupes fraîches pouvait prolonger les hostilités de plusieurs semaines et causer la mort de dizaines de milliers de soldats des forces libératrices, tant à l'Est qu'à l'Ouest.

Devant cet état de choses, le général Popławski, commandant de la Première Armée Polonaise donna l'ordre de passer à l'attaque. Cette nouvelle offensive des forces polonaises, qui venaient de prendre part aux sanglants combats pour la

libération de la partie, fut amorcée les 9, 10, 11 et 12 février. Les combats durèrent plusieurs semaines et se terminèrent par le succès des forces armées polonaises. Les combats se déplacèrent vers le nord. Les hitlériens, encerclés et coupés du reste de leurs troupes, ne voulurent pas se rendre. Cela explique le caractère sanglant de la lutte. Ces combats permirent aux Polonais de faire une entrée triomphale dans la

ville de Kołobrzeg et de remettre au cours d'une émouvante cérémonie le littoral de la Baltique à la nation polonaise. Du point de vue strictement militaire, cette action empêcha les hitlériens de faire passer des renforts vers Berlin encerclé. Nos photos représentent un groupe de soldats allant à l'attaque ainsi qu'un vétéran des combats d'alors visitant les ruines d'un blockhaus du „bastion Poméranie”.



COMMERCE POLONO-FRANÇAIS

La quotidien varsovien du sori „Kurier Polski”, organe du Parti Démocrate, a publié dans un de ses numéros de janvier un article de Paweł Wasielewski consacré aux échanges commerciaux polono-français. On peut y lire ce qui suit:

„En 1967, la valeur des échanges commerciaux polono-français s'était élevée à plus de 500 millions de francs pour augmenter de nouveau d'environ douze pour cent en 1968. La position de la Pologne comme deuxième partenaire commercial de la France parmi les pays socialistes après l'URSS s'est donc consolidée. Au cours des dernières années, et surtout après la signature de l'accord commercial à long terme en 1964, la valeur des échanges polono-français s'est accrue de plusieurs fois.

En ce qui concerne les exportations de la Pologne à destination de la France, des changements substantiels se sont produits dans leur structure. Le rôle des livraisons de biens d'investissement et de produits de l'industrie des constructions mécaniques telles que les machines-outils, diverses installations et l'outillage s'est accentué. Cela est dû, entre autres, à l'activité de la société polono-française „Metalex-France”, créée en France en 1966.

Les chalutiers polonais se sont déjà acquis une bonne renommée sur le marché français, tout comme les tracteurs.

Dans le secteur des articles de consommation, la Pologne exporte en France également des chaussures et des articles de confection pour dames.

Il est évident que, à côté des articles industriels et des produits de consommation durable, la Pologne livre à la France des matières premières telles que: soufre, charbon à coke et énergétique ainsi que des produits alimentaires.

Les importations en provenance de la France comportent, outre des machines et installations pour l'industrie, également des équipements électroniques des précision, des appareils de mesure, des dispositifs d'automatisation etc.

La coopération économique polono-française ne se limite pas seulement à un échange de marchandises. Les con-

tacts entre représentants de nos deux gouvernements, entre spécialistes de diverses branches se développent également”.

L'auteur de l'article termine en mettant l'accent sur les possibilités de l'avenir. Il écrit entre autres: „Très prochainement des entretiens polono-français auront lieu au sujet d'un protocole commercial pour l'année 1969 qui apportera incontestablement une nouvelle extension des échanges commerciaux. L'accord commercial pluriannuel polono-français signé en 1964 arrive à expiration cette année. Il sera donc nécessaire d'entreprendre des négociations afin d'en signer un autre pour 5 ans”.



DES BOIS POUR FAIRE DES MEUBLES



Des bois et non du bois, car il s'agit des cornes de cerfs et d'élans servant à faire des meubles plus décoratifs qu'utilitaires, des candélabres, des rateliers pour fusils de chasse, des fume-cigares etc. L'idée de se servir des cornes des animaux des bois de Pologne pour en faire des objets d'appartement est venue à quelques artisans de la ville de Miastko dans la voïvodie de Kozszalin au cours de l'année 1965. Depuis ce temps, ils ont produit un certain nombre de bibelots et de meubles dont la plupart ont été exportés en Suède, Hollande, RFA et Belgique.

„HONG-KONG” FAIT DES RAVAGES

Suivant une information de l'Organisation Mondiale de la Santé, la Pologne est avec l'URSS, la Finlande et la Suède le pays européen que la grippe a pris le plus... en

grippe. Jusqu'à la mi-février on a noté deux millions quatre cents mille cas de grippe dus au virus „Hong-Kong” qui a attaqué l'Asie, l'Amérique et l'Europe. La dernière

épidémie de grippe que vient de subir la Pologne est une des plus importantes depuis la fin de la guerre; rien qu'à Varsovie on a dépisté plus d'un demi million de malades. Grâce à une large action prophylactique

— distribution gratuite de vitamines et de médicaments dans les grandes entreprises — les services de santé ont sensiblement limité le champ d'action du virus A-2 (car tel était son numéro d'immatriculation dans le monde de la grippe). Les épidémies précédentes furent souvent moins importantes mais plus graves en ce qui concerne les conséquences — l'épidémie que la Pologne vient de vivre n'a fait aucune victime grave, ce qui n'était pas le cas des vagues de grippe précédentes.

Ainsi en 1957 il y eut trois millions de grippés et en 1962 à peu près la même quantité, cependant, cette dernière vague de virus d'origine asiatique causa indirectement la mort de 1308 personnes (complications pulmonaires et cardiaques). Du fait que notre globe devient de plus en plus petit grâce à la rapidité et l'universalité des moyens de transport, chaque épidémie se déclarant n'importe où peut avoir des conséquences à l'échelle du globe. C'est pourquoi on doit d'une part s'attendre chaque hiver à une nouvelle attaque d'un virus quelconque, d'autre part les services de santé doivent être prêts en permanence à faire face au danger.

— distribution gratuite de vitamines et de médicaments dans les grandes entreprises — les services de santé ont sensiblement limité le champ d'action du virus A-2 (car tel était son numéro d'immatriculation dans le monde de la grippe). Les épidémies précédentes furent souvent moins importantes mais plus graves en ce qui concerne les conséquences — l'épidémie que la Pologne vient de vivre n'a fait aucune victime grave, ce qui n'était pas le cas des vagues de grippe précédentes.

EN BREF DE POLOGNE • EN BREF DE POLOGNE

● Le quotidien du soir de Varsovie „Express Wieczorny” vient d'avancer l'idée qu'après „Pan Wolodyjowski” et „Potop” ainsi qu'„Ogniem i mieczem”, le cinéma polonais devrait procéder à la réalisation de „Pan Tadeusz”. Le journal varsovien rappelle à cette occasion qu'une première version filmée du chef-d'oeuvre de Mickiewicz a été réalisée il y a quarante ans.

● L'estrade polonaise a l'intention d'inviter cette année toute une pléiade d'artistes de réputation mondiale. La chanson française sera entre autres représentée par les vedettes suivantes: Juliette Greco, Mireille Mathieu, Salvatore Adamo, Joséphine Baker, Michel Polnareff, Jennifer, Georges Chelon, Audrey Arno, Dominique Grange et Marie Vincent.

● Le professeur Marian Weiss, directeur de la clinique de réhabilitation de Konstancin, près de Varsovie, a séjourné en France où il a donné dans des cliniques si-

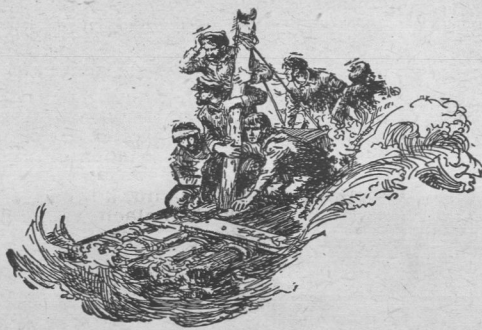
milaires des conférences sur sa nouvelle méthode de traitement des lésions de la colonne vertébrale. Le professeur Weiss doit recevoir au mois de mai prochain le titre de docteur honoris causa de l'Université de Rennes. Dernièrement, le savant polonais a été élu membre honoraire de la Société des chirurgiens d'Afrique occidentale.

● Le jeune et déjà célèbre violoniste polonais Konstanty Kulka continue une carrière bien remplie. Il vient d'effectuer une tournée triomphale en RDA, en Espagne et en Belgique.

● La milice de la ville de Szczecin a inauguré un système de punitions original pour les piétons indisciplinés. Toutes les personnes traversant la chaussée à l'encontre des règlements en vigueur sont obligées de se rendre pour tout un dimanche matin à un cours sur les obligations du piéton découplant du code de la route. Cette méthode est beaucoup plus efficace que les classiques contraventions.

Władysław Umiński

ZNOJNY CHLEB



Młody Poznaniak, Sobiesław Mrocki w zaborze pruskim nie znalazł warunków ani do pracy, ani do nauki. Zaborcy gniebili go i prześladowali za okazywanie uczuć patriotycznych zarówno w czasie nauki gimnazjalnej, jak i podczas przymusowej służby w wojsku pruskim. Te dwa rozdziały życia młodego chłopca zakończyły się dramatycznymi incydentami, w efekcie których Sobiesław musiał udać się na tułaczkę po świecie. W Poznańskim zostawił swoich starych rodziców — ojca stolarza i kochającą go matkę oraz swą siostrzyckę. Podczas służby wojskowej zaprzyjaźnił się z pewnym młodym Ślązakiem, który popełnił samobójstwo; przekazał jednak Sobiesławowi swą ostatnią wolę. Przed ucieczką z terenu zaboru pruskiego Mrocki odwiedził rodziców Ślązaka. Następnie udał się do wolnego miasta Hamburga, skąd udało mu się zdobyć miejsce na starym, zniszczonym statku „Delfin”. Podróż, niestety, obfitowała zaczęła w najdziwniejsze i niesłychanie trudne przygodki. W końcu, podczas silnej burzy, stateczek nie wytrzymał groźnego pojedynku z żywiołem i rozsypał się jak pudełko od zapalek — w drzazgi.

Mrocki wraz z innymi siedmioma towarzyszami niedoli, wśród których był również jego kapitan, uniknął śmierci dzięki dostaniu się na tratwę. Głód, pragnienie, okaleczenia rozjątrzające się pod wpływem upalnego słońca i stonęj wody tak dokuczyły rozbitkom, że wszyscy popadli w depresję. Jeden z nich, Bill, zmarł. Przed zgonem zdołał jeszcze przekazać Sobiesławowi swą ostatnią wolę: zająć się córką, 14-letnią Nelly, która mieszkała w Ameryce, oraz przekazać Mrockiemu upoważnienie na odbiór dla córki swych oszczędności. Gdy wyczerpani rozbitkowie bliscy byli szaleństwa z rozpacz, na horyzoncie pojawił się okręt.

Jedli nie przestając wykpiwać Mrockiego. Gdyby im nic nie dał, zapewne oburzyliby się jeszcze bardziej aniżeli na Joego, kiedy ten połknął rybę.

Po południu natrafiono na wielką pływającą roślinę morską. Wodorost był sam przez się niejadalny, ale zbadawszy go znaleziono na nim przyczepione do łodygi i liści drobne żyjątka, przeważnie mięczaki, które pochłonięto w jednej chwili. Samą roślinę przeżuwano, żeby wyssać z niej pożywne soki. Majtkowie twierdzili, że zawiera ona słodką wodę w swych naczyniach. Nie były te soki zupełnie słodkie, ale w każdym razie mniej słone od wody morskiej.

Ponury nastrój zwiększał się z każdą godziną.

Ponad tratwą krążyły żagłoci, burzyki i inne latawce morskie, mistrzowie w sztuce żeglugi powietrznej. Marynarze śledzili niedostrzegalne ruchy ich długich, potężnych skrzydeł żałując, że nie posiadają broni myśliwskiej. Mięso albatrosa, tranem przesiąknięte, byłoby w tej chwili przysmakiem nieporównanym.

Jeden z albatrosów unosił się na niewielkiej wysokości, porucznik strzelił z rewolweru, ale niestety, bezskutecznie. Wspaniały ptak lekceważąco odleciał i, jak na urągawisko, zawrócił właśnie w chwili, kiedy Joe wyciągał z wody swoją wędkę, na której końcu srebrzyła się wspaniale w słońcu jakaś ryba. Albatros rzucił się na tę zdobycz z szybkością strzały i porwał ją pomimo krzyków i machania wiosłami. Poczuwszy opór, zaczął się szarpać silnie. Joe ze swej strony ciągnął za sznurek i drżał z obawy, że ten lada chwila pęknie. Rozpoczęła się walka o zdobycz pomiędzy zgłodniałymi ludźmi a silnym ptakiem. W tej chwili odezwał się znów rewolwer. Albatros, choć nie trafiony, przeląkł się hukem, wyrzucił z dzioba zdobycz i poszybował w dal.

Kapitan pochwycił rybę, którą podał mu Joe.

Była to spora dorada. Podzielono ją na równe kawałki z wyłączeniem samego łowcy i zjedzono w oka mgnieniu.

Jeszcze jednak nie przelknęto, w gruncie rzeczy wstrętnego kaska, gdy wtem rozległ się piorunujący głos porucznika:

— Dym, dym w północno-zachodnim kierunku!

Okrzyk ten zelektryzował rozbitków; zapomniano w jednej chwili o rybie, o zuchwalcu-albatrosie, o planktonie, wszystkie oczy wpatrzyły się w małą, ledwie dostrzegalną chmurkę unoszącą się nad samym widnokregiem. Sokole oczy majtków sprawdziły wiadomość i przekonały się, że porucznik nie pomylił się.

Rozpoczęło się oczekiwanie podobne do przykrego snu. Pełne obawy oczy marynarzy wpatrzono były w dym. Czy rośnie, czy maleje? Czy parowiec zbliża się, czy oddala? Spozstrzeże tratwę czy ją minie?

W kołaczących sercach nadzieja ważyła się z rozpaczą.

Oczy zachodziły łzami z wysiłku. Nareszcie rzecz wyjaśniła się. Parowiec zbliżał się, nie mogło już być żadnej wątpliwości!

Porucznik chwycił złamane wiosło, przywiązał na jego końcu wielką płachtę z żagla i zaczął nią energicznie machać w powietrzu.

Słup dymu włożył się ciężką smugą ponad oceanem. Niebawem można było zobaczyć komin. Parowiec szedł szybko, przecinając drogę tratwie. To dodało odwagi rozbitkom; byli pewni, że ich spozstrzegą. Ci, którzy mieli jeszcze cokolwiek siły, zaczęli wiosłować.

W pół godziny później ukazał się już cały kadłub okrętu, który widocznie zwalniał biegu. Porucznik podwoił usiłowania.

Tratwa posuwała się wolniutko... wolniutko, z leżącymi na niej, na pół już omdlałymi rozbitkami. Nawet radość nie potrafiła podnieść ich na nogi. Patrzyli na okręt, widzieli, że zatrzymuje się, że spuszczają z pokładu szalupę, że do tej szalupy wsiada sześciu majtków, że wiosła miarowymi ruchami zanurzają się w wodę... Już, już są niedaleko. Młody oficer stoi trzymając w rękę sznurki od rudła. Wiosła podnoszą się w górę, bo szalupa dotyka tratwy. Wzruszenie odbiera resztki sił nieszczęśliwym; trzech leży nie mogąc już podnieść się na nogi o własnych siłach, tylko Joe wiosłuje do ostatniej chwili.

Wybawcy w milczeniu wskakują na tratwę i przenoszą bezwładnych na szalupę. Kapitan „Delfina” daje jakieś objaśnienia, przybyły oficer kiwa głową; na jego twarzy maluje się współczucie. Już wszyscy znajdują się w szalupie; wiosła opuszczają się i uderzają w fale. Mrocki pamięta jeszcze, jak szalupa zatrzymała się u trapu i jakieś silne ręce dźwignęły go w górę; potem ciemność zasłoniła mu oczy.

Wiedział tylko doskonale, że jest uratowany, że jego cierpienia skończyły się.

ROZDZIAŁ X

W PUŁAPCE

Opuściliśmy Sobiesława Mrockiego w chwili, kiedy po kilkudniowej tułaczce wśród wodnej pustyni znalazł się na pokładzie okrętu, który w ostatniej chwili wyratował rozbitków „Delfina”.

Była to rzeczywiście ostatnia chwila; Sobiesław czuł się tak wyczerpany i chory, że przez osiem dni nie opuszczał hamaka okrętowego. Jego towarzysze znajdowali się w tym samym, co on, stanie. Kapitan tylko, zahartowany w wieloletnich zapasach z oceanem marynarz, i Joe po dwóch dniach wrócili zupełnie do zdrowia.

Kiedy nareszcie nasz tułacz dźwignął się z łoża i, z polecenia lekarza okrętowego, usiadł na górnym pokładzie, ażeby oddychać świeżym, słonecznym powietrzem, które mu miało powrócić siły, wtedy dopiero dowiedział się, że nie płynie bynajmniej do Baltimore. Okręt, który ocalał garstkę marynarzy, znajdował się w drodze do Rio de Janeiro, stolicy brazylijskiej, z ładunkiem wyrobów przemysłowych, z Nowego Jorku zabranych. Załoga jego składała się po więk-

szej części z Meksykańczyków mówiących po hiszpańsku.

Kapitan „Delfina” nie obiecywał bynajmniej zabrać Mrockiego do Baltimore bezpłatnie. Młodzieniec przeczuwał więc, że będzie w opałach, ale w najbujniejszej i najbardziej pesymistycznie nastrojonej wyobraźni nie mógłby się odbić obraz tego, co go naprawdę czekało.

Ostatnie kilkanaście dni podróży morskiej były nawet dla Mrockiego bardzo przyjemne: patrzył na szafirową toń oceanu, z której od czasu do czasu podrywały się stadka ryb latających, śledził szybkie ruchy zgranych delfinów, towarzyszących okrętowi, nocami podziwiał świecenie morza, zjawisko wywołane obecnością pewnych drobnoustrojów wypływających podczas pięknej pogody ku powierzchni... Życie na parowcu spokojnie płynęło rozbitkom. Nie wymagano od nich żadnych usług, traktowano jak miłych gości, po koleżeńsku, bo kapitan i lekarz postawili sobie za najpilniejsze zadanie przywrócenie sił wynędzniałym marynarzom i współczuli żywo ich minionym nieszczęściom.

Kapitan opowiadał szczegółowo i barwnie o doznanych przygodach, a ponieważ był niezrównanym towarzyszem przy kieliszku, zjednął więc sobie w mig przyjaźń oficerów hiszpańskiego statku. Mrocki znów pociągał swych wybawców oglądając towarzyską, wykształconą i ocytaniem oraz sympatyczną powierzchownością. Nie mógł więc narzekać. Pozostali rozbitkowie z „Delfina” cieszyli się także życzliwością załogi; toteż ani się obejrzano, kiedy na widnokregu ukazała się ciemna linia lądu.

Była to Brazylia.

„Brazylia! — pomyślał Mrocki. — Czy mi kiedy do głowy przyszło, że wsiadając w Hamburgu na «Delfina» wysiądę aż w Rio de Janeiro?»

Troska o przyszłość miotła jego sercem, ale pocieszał się, że ma zdrowe ręce, chęć do pracy, a więc nie zginię.

Mrocki słyszał wiele o piękności stolicy brazylijskiej, ale to, co ujrzał, przewyższało wielokrotnie jego wyobraźnię. Trudno zaiste znaleźć cudniejszą miejscowość pod słońcem. Statek wszedł na krótko przed zapadającym mrokiem do olbrzymiej zatoki, nad której zielonymi brzegami malowniczo rozłożyło się milionowe z górą miasto. Sobiesław nigdy jeszcze w życiu nie widział tak wspaniałego zachodu. Niebo płonęło, jakby wielki pożar ogarniał spiętrzone obłoki. Było tu nieprzebrane bogactwo soczystych, gorących barw, olśniewających zdumione oko. Purpura, odbita od chmur, zalewała powierzchnię zatoki i położoną na niej wyspę. Wszystko stało jakby w łunie albo we krwi rozpalonej do świecenia. Port, mogący pomieścić wszystkie floty świata, był napełniony setkami okrętów przybyłych z najodleglejszych zakątków ziemi. Obok pancerników stały tam potężne parowce zaoceaniczne, a między nimi snuło się mrowie mniejszych i większych żaglowców, łódki jak muchy wypełzały rojami na spotkanie wchodzących do przystani okrętów. Mrocki mimo woli doznał wrażenia, że ta błogosławiona kraina tonie w szczęściu i błogoci.

Na południowym brzegu zatoki wznosi się ostry szczyt górski, zwany Głową Cukru. Miasto leży bezpośrednio nad morzem i wciśnięta się głęboko między góry służące mu za wspaniałe tło. Góry te, jak się później przekonał Mrocki, są zamieszkałe. Zamożni Brazylijczycy pobudowali tam wśród niezwykłej piękności ogrodów wspaniałe wille, z dala od niskich wybrzeży, gdzie panuje febrala. Ale ulice dolnego miasta są przeważnie tak wąskie, że pojazdy nie mogą po nich kursować. Domy są dwu- lub trzykondytorowe. W ciasnocie tej, podczas tropikalnego upału, panuje nieznośny zaduch. Co parę kroków spotykasz kawiarnie, w których za kilkanaście groszy podają ci wyborną, aromatyczną kawę. Są one od wczesnego ranka do późnego wieczora przepełnione gośćmi. W niektórych już bardzo wcześnie rozpoczyna się koncert.

Dalszy ciąg nastąpi

• SPORT • SPORT • SPORT • SPORT • SPORT • SPORT •

Polska zaprasza Rodaków — automobilistów
z zagranicy

SAMOCHODOWY RAJD FOLKLORU

W NAJPIĘKNIEJSZYM okresie wakacji, w dniach od 20 do 26 lipca Polski Związek Motorowy wspólnie z Polskim Komitetem Olimpijskim organizują dla Polonii zagranicznej wielki, samochodowy RAJD FOLKLORU POLSKIEGO. Będzie to jedna z wielu imprez, odbywających się w naszym Kraju z okazji 50-lecia odzyskania niepodległości przez Państwo Polskie oraz 25-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Organizatorzy oczekują, że uczestnikami Rajdu będą przede wszystkim działacze polonijni, pracujący za granicą na rzecz funduszu olimpijskiego Polskiego Komitetu Olimpijskiego, chociaż każde zgłoszenie będzie przyjęte otwartym sercem, a każda wizyta Rodaków z zagranicy — powitana z radością.

WARSZAWA OŚRODKIEM ETAPOWYM

Celem Rajdu, który ma przede wszystkim charakter turystyczny, choć nie brak elementów sportowych, jest zapoznanie uczestników z przeszłością historyczną i współczesną Polski, jej zabytkami, kulturą, folklorem, przeobrażeniami struktury Kraju i osiągnięciami w dziedzinie gospodarki narodowej. Udział w Rajdzie umożliwi jego uczestnikom szeroki kontakt z całym polskim społeczeństwem, a zwłaszcza z kręgiem działaczy olimpijskich, sportowych, turystycznych i przedstawicielami poszczególnych regionów Kraju.

Przejdźmy do szczegółów organizacyjnych. A więc Rajd Folkloru Polskiego jest dwuetapową, samochodową imprezą turystyczno-sportową. Pierwszy etap Rajdu ma charakter zjazdu gwiazdowego, drugi zaś — jazdy okrężnej na trasie 835 km. Metą obu etapów jest Warszawa. Udział w Rajdzie mogą wziąć kierowcy i pasażerowie pojazdów samochodowych różnych klas i marek, zarówno indywidualnie jak i zespołowo, przy czym zespół tworzą co najmniej trzy samochody z jednej miejscowości.

MOŻNA BEZ LICENCJI SPORTOWEJ

Warto podkreślić, że licencja sportowa nie jest wymagana, co z jednej strony świadczy o popularnym charakterze Rajdu, z drugiej strony uspokoi przyszłych uczestników, że próby sportowe nie będą trudne.

Uczestnicy Rajdu tak muszą obliczyć termin wyruszenia ze swych miejsc zamieszkania, żeby w dniu 20 lipca stawić się na jednym z ośmiu niżej wymienionych punktów granicznych: Swinoujście, Kołbaskowo, Swiecko, Kudowa, Cieszyn, Zgorzelec, Medyka i Terespol. Stamtąd mają się oni kierować do jednego z punk-

WPLATY NA FUNDUSZ OLIMPIJSKI

Ostatnio za pośrednictwem redakcji wpłacili na Polski Fundusz Olimpijski: p. Kamiński z Paryża — 100.— franków, p. Pawłowski z Vienne — 10.— franków oraz p. Gebicki z Commeny — 20.— franków.

W imieniu polskich sportowców serdecznie dziękujemy.

tów kontrolnych, wyznaczonych w Poznaniu, Wrocławiu, Białymstoku i Rzeszowie.

SZLAKAMI HISTORII

Po przenocowaniu w jednym z tych miast uczestnicy Rajdu wyruszą do Warszawy, jednakże nie najprostszą drogą. Czeką ich wielka przygoda turystyczna, gdyż po drodze do stolicy Polski muszą zwiedzić kilka obiektów historycznych lub kulturalnych. Dla przykładu podajemy trasę z Poznania, nazwaną przez organizatorów „Szlakiem Tysiąclecia Państwa Polskiego”. Otóż na tej trasie uczestnicy Rajdu muszą zwiedzić Katedrę w Gnieźnie, prasłowiański gród w Biskupinie, legendarną Mysią Wieżę w Kruszwicy, muzeum regionalne w Łowiczu, gdzie wszędzie potwierdzą pobyt w swych książeczkach uczestnictwa. Podobnie na pozostałych trzech trasach wybrano dla rajdowców ciekawe i godne obejrzenia obiekty.

W dniu 22 lipca, w dniu Święta Wyzwolenia odbędzie się w Warszawie wielka defilada wojskowa i parada sportowa. Uczestnicy Rajdu obejrzą ją z trybun, po południu zwiedzą Łazienki, a wieczorem spotkają się na galowym przedstawieniu w Teatrze Wielkim.

PRÓBA REGULARNOŚCI JAZDY POD KRAKOWEM

Drugi etap Rajdu rozpocznie się 23 lipca. Pierwszy odcinek wiedzy w Warszawie, przez Radom, Kielce, Ojców do Krakowa. Tu też, między Miechowem a Słomnikami odbędzie się próba jazdy na regularność na odcinku 15 kilometrów. Przewiduje się także zwiedzanie zamku i jaskiń w Ojcowie. Następnego dnia największym wydarzeniem będzie zwiedzanie zamku na Wawelu i Nowej Huty — miasta, które ma dopiero 20 lat. Chętni będą mogli wziąć udział w próbie sprawności kierowania pojazdem, która odbędzie się na lotnisku w Czyżynach.

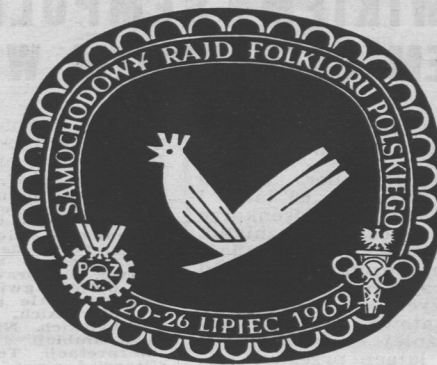
25 lipca następnym odcinek II etapu Rajdu z Krakowa do Lublina przez Tarnów, Dębicę, Sandomierz, Kraśnik. Po drodze zwiedzanie Sandomierza, jednego z najpiękniejszych miast na szlaku Wisły.

Dzień 26 lipca rozpocznie się od uroczystego złożenia wieńca pod pomnikiem ofiar pomordowanych przez hitlerowców w Majdanku. Następnie droga prowadzi do Nałęczowa, gdzie program przewiduje zwiedzanie muzeum Stefana Żeromskiego i Bolesława Prusa. W dalszej drodze wypada w pięknym Kazimierzu nad Wisłą, następnie zaś w Puławach — zwiedzanie muzeum Czartoryskich.

Wieczorem w Warszawie nastąpi ogłoszenie wyników, rozdanie nagród, wspólna kolacja, impreza rozrywkowa, muzyka i zabawa taneczna.

JUŻ NIEDŁUGO PROGRAMY W OŚRODKACH POLONIJNYCH

Nie jest to oczywiście program kompletny. We wszystkich miastach, w których uczestnicy Rajdu będą nocowali, przewidziane są spotkania ze społeczeństwem, występy regionalnych zespołów artystycznych i inne atrakcje.



Przygotowania do Rajdu Folkloru Polskiego prowadzone są przez działaczy Polskiego Związku Motorowego. Zwróciliśmy się więc do sekretarza generalnego tej organizacji inż. Edwarda Niziołka z prośbą o kilka informacji o ich stanie. Oto co nam powiedział:

— Chciałbym podkreślić społeczny wkład pracy działaczy Polskiego Związku Motorowego, zrzeszonych w automobilkubach. Z wielkim entuzjazmem podjęli oni inicjatywę zorganizowania Rajdu Folkloru Polskiego, która zrodziła się w ubiegłym roku. Prace przebiegają bardzo dobrze, notujemy jedynie niewielkie opóźnienia w druku regulaminów. W niedługim czasie będą one już gotowe i zostaną rozesłane do wszystkich ośrodków polonijnych w Europie. Wcześniej natomiast rozesłaliśmy plakaty, które wykonały Wydawnictwa Artystyczno-Graficzne. Projekt jest bardzo udany i dobrze oddaje charakter naszej imprezy. Wszyscy nasi goście już z chwilą przekroczenia granicy będą mieli oddane do swej dyspozycji ośrodki techniczne Polskiego Związku Motorowego. Warto dodać, że rolę gospodarzy, na czele aktywu społecznego, będą pełnili m.in. prof. dr Kazimierz Nowosad we Wrocławiu, Sobiesław Zasada w Krakowie, doc. dr Zbigniew Papliński w Lublinie. Staramy się stworzyć uczestnikom Rajdu wszelkie możliwe udogodnienia. I tak np. ci, którzy będą chcieli wyruszyć na trasę II etapu bez dzieci, będą mogli pozostawić swe pociechy w Warszawie pod fachową opieką.

EKIPA POLAKÓW Z WIELKIEJ BRYTANII

Prezes Komisji Funduszu Olimpijskiego PKOl mgr Mieczysław Hara poinformował nas, że Polonia z Wielkiej Brytanii zadeklarowała już swój udział w Rajdzie Folkloru Polskiego. Komandorem ekipy, złożonej z członków i sympatyków Klubu Olimpijczyka w Londynie, będzie p. Kapiński, natomiast drużyną Polskiego Funduszu Olimpijskiego w Szkocji — p. inż. Karpiński.

— Polski Komitet Olimpijski — powiedział Mieczysław Hara — z wielką satysfakcją odnotował społeczny gest działaczy PZM, tym bardziej że wielki, bezinteresowny wysiłek kilkuset tych działaczy ma na celu jak najlepsze zorganizowanie pięknej, sportowo-turystycznej przygody w Polsce dla działaczy i sympatyków polskiego sportu za granicą, w roku jubileuszu 50-lecia PKOl i 25-lecia PRL, stworzy także okazję spotkania z czołowymi sportowcami i działaczami polskiego ruchu olimpijskiego.

Wacław KORYCKI

Przypominamy tym wszystkim, którzy chcą wziąć udział w Rajdzie Folkloru Polskiego, adres organizatora: Polski Związek Motorowy, Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 26-42-11.

TRÓJKA POLAKÓW W AMERYKAŃSKICH HALACH

Trójka polskich lekkoatletów: Irena Szewińska, Andrzej Badeński i Henryk Szordykowski bawiła w lutym na kontynencie amerykańskim, gdzie startowała w mityngach halowych. Niestety pierwotny program uległ niespodziewanym zmianom i po pierwszym starcie w Los Angeles Polacy znaleźli się w Kanadzie, gdzie w ogóle nie mieli występować.

Pierwsze wyniki, nie zawsze pomyślne dla polskich lekkoatletów, nie są więc zaskoczeniem. Wiadomo przecież, że pojechali oni za Ocean po bardzo krótkim przygotowaniu, a właśnie start w amerykańskich halach miał dopomóc całej trójce w osiągnięciu odpowiedniej formy na Halowe Igrzyska Europejskie, które w początku marca odbywają się w Belgradzie. W dodatku wiadomo jest, że Irena Szewińska raczej wolno wychodzi ze startu, przeciwnie niż jej amerykańskie konkurentki, nie ma więc wielkich szans w pojedynkach na krótkich dystansach. Jako dodatkową trudność, deprymującą zresztą prawie wszystkich Europejczyków, trzeba wymienić specyficzną atmosferę, panującą zwykle podczas zawodów halowych w USA.

W Los Angeles Irena Szewińska była trzecia na 300 y z czasem 36,6, za biegaczkami USA Barbarą Farrell — 36,2 i Lois Drinkwater — 36,3. Na 60 y Polkę wyprzedziła o 0,2 sek. Barbara Farrell — 6,7. Andrzej Badeński uzyskał na 500 y 57,4, zajmując trzecie miejsce. Zwyciężył Lee Evans — 57,0 przed Jimem Kemp — 57,1. Henryk Szordykowski był czwarty na 1 milę — 4,06,7.

W Toronto Henryk Szordykowski wygrał bieg na 1 milę — 4,08,9, zaś Szewińska była druga na 300 y — 35,9 za Barbarą Farrell — 35,2. Na 50 y zwyciężyła Farrell — 5,9 przed Madeleine Fender — 5,9 i Szewińska — 5,9.

Notatnik sportowca

BIEG NA PRZEŁAJ

Montgeron. W dużym biegu międzyokreślowym tzw. Nationaux de Cross-Country, w którym wzięli udział reprezentanci całej Francji (9 km), Borowski z Sochaux był 7, mając tylko kilkanaście sekund mniej niż zwycięzca biegu. Dalsze miejsca zajęli Wichniarek z Lievin 19 i Wieczorek z Sochaux 44.

KOLARSTWO

Montceau-les-Mines. Miejscowy Moto-Velo-Club liczy na duże sukcesy w tegorocznym sezonie, ponieważ sekcja kolarska została wzmocniona Edmudem Gemboylem, który powrócił do klubu z wojska.

KOSZYKOWKA

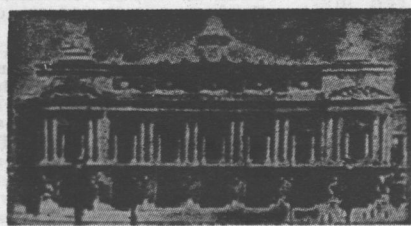
Oignies. Oignies-Tours 66:72. Człowa drużyna drugiej ligi tylko z dużym trudem wygrała w Oignies. W drużynie Oignies bardzo dobrze grali Rousselle 23 pkt., Włodarczyk 11 pkt., Szczepaniak 8 pkt., Meisnerowski 6 pkt. i Jakubczyk 5 pkt. Przy lepszym szczęściu w rzutach wolnych mogli miejscowi wygrać spotkanie, ale nie było tutaj Głodka.

Reims. Reims-St. Marie-aux-Chenes 50:43. Nieszczęśliwa przegrana pozbawiła prawie drużynę z St. Marie szans mistrzowskich. Wymienić należy w tej drużynie za dobrą i niejednokrotnie ofiarną grę Szymańskiego 7 koszy i Puskarczyka, 5 koszy.

Montceau-les-Mines. Wśród juniorek miejscowego klubu koszykówki US Gerbe wyróżniają się ostatnio Bernadette Ratyńska i Annie Bojarska. Przy ich współudziale w pierwszej drużynie spodziewają się tu wszyscy, że US Gerbe odzyska tytuł mistrzowski Francji w nowym sezonie koszykarskim.

PIŁKA NOŻNA

Dechy. Szerokim echem odbiła się tu wiadomość, że na wielkanocny turniej piłkarski juniorów przyjeżdżają z Polski dwie drużyny — juniorzy Polonii Bytom i Odry z Opola. Jako przeciwników będą oni mieli zespoły czeskie, niemieckie i belgijskie obok miejscowych zespołów z St. Quentin i Guesnain.



80, rue Lafayette-PARIS^e

Métro: CADET lub POISSONNIERE

Téléfon: 770-43-43 824-41-50

HOTEL OPERA-LAFAYETTE

CATEGORIE **A

RESTAURANT

Dyrekcja: Zenon LUBINSKI

(Face Square MONTHOLON)

Mówi się po francusku oraz po polsku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku i włosku

ROZMOWA Z LUDWIKIEM SEMPOLIŃSKIM NAJSTARSZYM AKTOREM ESTRADOWYM W POLSCE

LAUREATA tegorocznej nagrody m. st. Warszawy, znakomitego aktora, nestora polskiej estrady, ulubienca trzech pokoleń publiczności, profesora Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej (to się nawet jednym tchem wyliczyć nie da) — LUDWIKA SEMPOLIŃSKIEGO spotkałem przypadkowo na Nowym Świecie w Warszawie. Poznałem go z daleka po młodzieżowej sylwetce, sprężystym kroku i zaraz oczywiście przypomniałem sobie jego znany numer „Wodzirej”. Ale przede wszystkim ucpepiła mi się pamięć taka oto zwrotka, chyba jakiejś starej ballady francuskiej.

„Historia taka, ach mon Dieu, zdarzyć się może byle gdzie. I byle z kim — każdego dnia, i właśnie stąd ballada ta...”

Dalej nie pamiętam. Ale pamiętam dokładnie, że ballada ta skojarzyła mi się natychmiast z profesorem Sempolińskim. Kiedy już siedzieliśmy w kawiarni, wyrecytowałem nędznie ten strzęp ballady i zapytałem mistrza, czy słowa ballady cokolwiek mu przypominają.

— Oczywiście, redaktorze! Przypominają mi pana, nasze spotkanie przed laty w szkole dramatycznej...

— W Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej?

— Tak. Ja to tak nazywam dla uproszczenia. A więc ballada ta, to tekst i melodia ćwiczebna moich uczniów.

I tak się zaczęła nasza rozmowa o wszystkim i o niczym. Ale — jak zwykle ze strony p. Sempolińskiego — pełna interesujących opinii, uwag, puent, finezyjnego humoru. Głównym oczywiście tematem była piosenka, ponieważ — jak wiadomo — Ludwik Sempoliński jest kierownikiem katedry piosenki w PWST w Warszawie.

— To nie wygląda tak poważnie, jak pan myśli — podjął temat Sempoliński. — „Katedra” to zbyt szumna nazwa. Chodzi oczywiście o uczenie się interpretacji piosenki. Ten przedmiot w studiach aktorskich jest bardzo pożyteczny i bardzo potrzebny dla każdego aktora, gdyż pogłębia jego warsztat aktorski. Obok mnie — uczą tego przedmiotu koledzy profesorowie: Romanówna, Bardini, Rudzki.

— Piosenka to estrada, przede wszystkim estrada. Czy jest w tej chwili w Polsce duże zapotrzebowanie na aktorów estradowych?

— I tak, i nie — odpowiada Sempoliński. — To znaczy jest duże zapotrzebowanie na piosenkarzy, ale sprawa ta jest jakoś dziwnie traktowana. Wszystkim się wydaje, że piosenkarz znaczy — wykonawca, że od razu, z miejsca się rodzi jako wykonawca. Słowem: że nie trzeba się tego uczyć, a wystarczy ogłosić konkurs, zebrać 5000 piosenkarzy, wybrać z nich 400 albo 200, a z tych 200 — dwudziestu, potem nagrać na taśmę czy płyty i już mamy 20 nowych, świetnych piosenkarzy.

Tak nie jest — kontynuował stary mistrz. — Ja oczywiście troszeczkę, a nawet bardzo upraszczam rozumowanie z tymi wybitnymi talentami niejako z bożej łaski. Zasada jednak jest taka: „Wykonawstwo piosenki jest bardzo trudne”.

Dziwie się, że u nas wszystkim tym, od których życzy bardzo wiele, m. in. propagowanie piosenki, wydaje się, że to sprawa prosta. Nie mogą oni zrozumieć jednej zwykłej rzeczy. Znają przecież tyłu piosenkarzy, zwłaszcza francuskich czy włoskich, którzy tak celują w tej dziedzinie, i sądzą, że oni — ci sławni piosenkarze, takimi byli od samego początku, że ledwie zdążyli oderwać się od piersi matczynej i zaraz pięknie śpiewali piosenki. To nieprawda. Oni się bardzo długo uczyli, mordowali, zanim nau-

czyli się interpretacji tych piosenek. Oni są piosenkarzami nie tylko z urodzenia, ale i z wykształcenia.

Maurice Chevalier śpiewa już tych drobnych 60 lat i wciąż śpiewa. A piosenkarze bez wykształcenia poznawali, jak efemerydy. To jest właśnie nie to nieporozumienie wśród piosenkarzy, również niektórych naszych, którzy nie mają szkoły. Ratowali się, jak mogli, a później — o dziwo — po kilku latach przestano się nimi interesować, i publiczność, i radio, prawda? I nie wiadomo, dlaczego? A taki Aznavour — najlepiej płatny dziś piosenkarz na świecie — wie. Powiedział, że największą jego zaletą jest praca...

— Według mnie sprawa jest prosta. Myśmy w Szkole Teatralnej doszli do jednego z zasadniczych wniosków, na którym opieramy naukę naszej interpretacji piosenki, a mianowicie: piosenka składa się z tekstu i melodii. Czasami melodia jest ważniejsza, czasami tekst. W każdym razie, jeżeli melodia jest ładna — dochodzi do słuchacza muzycznego, absolutnie bez względu na to, kto ją śpiewa, nawet wtedy, jeżeli jest śpiewana byle jakim głosem. Z tekstem natomiast jest gorzej. Bardzo wielu piosenkarzy nie rozumie tekstu, który śpiewa. Pierwsza rzecz — to podanie tekstu. Wykonawca musi doskonale sobie zdawać sprawę, co śpiewa i dlaczego. Jeżeli tekst wykonany przez niego będzie zrozumiany, jasny, za tym tekstem pójdzie melodia i piosenka chwyci wśród publiczności, będzie lubiana przez publiczność. To jest podstawowe zadanie, tego należy się uczyć.

— Ale czasami tekst jest zły?

— To zupełnie co innego — wyjaśnia profesor. — Ale nawet najgorszy tekst dobrze podany — będzie strawny. Natomiast zły tekst i źle podany można śpiewać po chińsku, nie ma wtedy żadnej różnicy.

— A co panu, profesorze, najbardziej się podoba u pańskich studentów?

— Najbardziej podobają mi się zdolni uczniowie.

— Ile piosenek, skeczów, pan wykonął, profesorze?

— Chyba 1000?

— Czego w panu jest więcej: aktora czy pedagoga?

— To trudno powiedzieć. Aktorem jestem 50 lat, a profesorem 16. To jest uroczne małżeństwo. Spod moich skrzydeł wyszli Fogg, Rolland — wprowadziłem ich na scenę. Zawód pedagoga daje mi dużo świeżości, zachwyca świeżością przeżyć młodzieży. Udziała mi się entuzjazm młodych, ich radość życia, ich wiara.

— A czym by pan chciał być, gdyby...

— Aktorem!

Sempoliński patrzy zdziwiony, a potem dodaje:

— Chciał to zawód niesłychanie trudny i męczący. Widać pan, piosenka jest właściwie potrzebą każdego człowieka. Ludzie gołą się i nuca, choć słów nie znają, tylko — tra, la, la! Melodię znają z radia i nuca. Dziś jest na całym świecie moda na piosenkę. Jest również moda na krzyk, na chrype — np. Armstrong, na bandycką chrype — np. Tango Criminale. Jest moda na głos kota, tygrysa, na łaszenie się — np. Murzynka Kitt.

— A czy jest moda na łamanie krzesel? — pytam.

— Tego już właściwie teraz nie ma. To był szal. Młodzież była nieporąkowana na występach Pristley'a. On padał, wierzał nogami, a oni go naśladowali. On kładł się i wył, a nie śpiewał. To była nie-

zdrowa naraź na piosence. To dawno minęło. Teraz Pristley śpiewa otwartym tonem „O sole mio”.

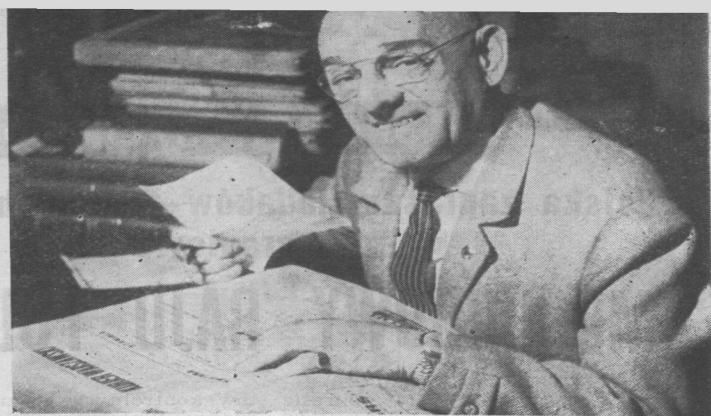
W Polsce natomiast śpiewano kiedyś tylko po włosku lub angielsku, nawet tonem zachodnich piosenkarzy, nie rozumiejąc ani słowa. To też na szczęście już minęło. Ale nie minęło naśladowanie. To prawda, że największe polskie gwiazdy powstały z amatorów. Ale potem zrobiło się 5 Koterbskich, 5 Rolskich i 5 Przybylskich. Nie ma u nas za dużo ambicji do własnych dróg interpretacji. Tekst trzeba przefiltrować przez siebie samego, a nie przez kogoś.

— Pyta pan, czy lubimy krytyków? — Sempoliński mruży trochę złośliwie oczy: literacko są dobrzy, teatralnie źli. Za mało piszą o wykonaniu. Tylko — podoba się, nie podoba się — i to wszystko. Krytyk i enuch z jednej są parafii. Bardziej cenię opinii publiczności.

— A czy pan również miewa tremę? — zadaje podchwytliwe pytanie. Sempoliński patrzy na mnie zdziwiony.

— Trema? — Pan chyba żartuje? Mam zawsze olbrzymią tremę. A z biegiem lat coraz większą. Nie ma człowieka bez tremy. Tylko kabotyn i bufon nie mają tremy. Trema to odpowiedzialność.

— Słyszałem, że pan kiedyś



występował w cyrku. Czy to prawda?

— Cyrk? Bardzo lubię cyrk. Występowałem kiedyś w cyrku Braci Staniewskich, w przedstawieniu węgierskiego autora pt. „Światła areny”. Ze mną razem występowały takie sławy ówczesne, jak Hanka Ordonówna, Eugeniusz Bodo, Mankiewiczówna, Sielański, no i 200 girls. Akto- rzy dublowali cyrkowców. Ordonówna na koniu i na trapezie. Ja tresowałem pieski i grałem na dzwonczkach. Te pieski to wcale nie chciały mnie słuchać. Treser musiał siedzieć w łożu i dawać im różne znaki. Pieski zatrzymywały się przed nim, a nie przede mną. A w ogóle cyrk — to znakomita rzecz. To połączenie niesłychanej sprawności fizycznej z formą artystyczną. Popow jest genialny. Bardzo wysoko cenię cyrk, od Grocka do Popowa.

— Czytałem pańskie wspomnienia — wtrącam. Sempo-

liński uśmiecha się sceptycznie:

— A tak, istotnie popeniłem księgę, zachęcony przykładem innych. Na zasadzie możliwości, a nie na zasadzie talentu literackiego. Pisanie — to ostatnie stadium intelektualizmu, po którym... Ale niektórzy jednak piszą i nie w ostatnim stadium, oczywiście, bo muszą, a ja nie muszę. Wygłaszałem na scenie Szekspira i innych dramaturgów. Moje własne słowa nie smakują mi po nich. Z czasem to oczywiście przejdzie.

— A może jakiś dowcip, profesorze, z życia teatru? — proszę na zakończenie.

— Dowcip? No, np. w sztuce „Bitwa pod Racławicami” adiutant zapomniał dać Solskiemu tekst rozkazu. Dał pudełko papierosów, jako rekwiwit. Solski powiedział wówczas: „Przeczytaj no sam, bo ja zapomniałem okularów”.

Jerzy JACYNA

La semaine des Jeunes

„Une femme surtout doit tribut à la mode...”



„Il est une déesse inconstante, incommode, Bizarre dans ses goûts, bolle en ses ornements, Qui parait, fuit, revient et naît en tous les temps, Protée était son père, et son nom est la Mode”. C'est d'elle que je voudrais vous parler aujourd'hui. Je me rends certes compte que je ne saurai pas vous en parler aussi brillamment que l'auteur que je viens de citer, c'est-à-dire Voltaire (en effet, non seulement je n'ai pas reçu du Ciel le don d'aligner des vers, mais encore je ne m'exprime souvent en prose qu'avec la plus grande peine du monde...), mais comme je suis passablement bavarde, ce n'est sûrement pas ça qui m'empêchera de vous faire un petit speech.

Comme en ce mois de février on a eu quelques jours de vacances, j'en ai profité pour compiler des catalogues et des journaux de mode. Naturellement, ce ne sont pas les créations des grands couturiers parisiens qui ont retenu mon attention. D'abord, le les trouve bien trop excentriques. Même si j'étais bourrée de fric, je pense que je ne me fringerais pas de cette façon-là. Parce que dans notre cité, les gens diraient sûrement que je me suis accoutrée comme une folle et que je travaille du chapeau. Mais il n'y a guère de danger qu'ils le disent, car je suis en quelque sorte chroniquement fauchée comme les blés, et

de ce fait je n'ai pas d'autre choix que de laisser les créations des Cardin et autres Christian Dior à Brigitte Bardot, Elisabeth Taylor, et tutti quanti. Moi, ce qui m'intéresse, c'est la mode „démocratique”, les créations „prolo”.

D'une façon générale, on nous propose pour le printemps des couleurs vives, voire voyantes, et des formes vraiment affriolantes. Sise à Paris, la „Citronnelle Boutique” par exemple, propose une robe tout ce qu'il y a de plus chic. C'est une robe en fibranne marine garnie de blanc; le boutonage est asymétrique. C'est chouette. Mais c'est cher: 215 francs. J'ai également été séduite par une robe chemisier en coton fleuri der „Galeries Lafayette”. Outre qu'elle est gentille comme tout, elle offre l'appréciable avantage de ne valoir que 45 francs. Et j'ai aussi trouvé des choses bath dans le catalogue de La Redoute... Mais cessons de nous exciter. Autant vous dire tout de suite que je n'aurai pas de nouvelle robe. C'est me mère qui en a décidé ainsi. Comme je dois aller en vacances en Pologne, et comme je meurs d'envie de m'y acheter une pelisse en peau de mouton — un „kozuszek” — il faut économiser. Comme disaient les anciens: „dura lex, sed lex”. La loi est dure, mais c'est la loi.

Ici, j'entends déjà les garçons s'indigner. „Pourquoi nous fait-elle un laius sur la mode? Elle ne peut même pas se payer une robe et elle parle de la mode!” — je vous fiche mon billet que c'est ça qu'ils sont en train de penser en ce moment. Quels ignares, n'est-ce pas? Essayons voir de leur expliquer, à ces bétas. Si je m'intéresse à la mode, c'est parce que cela fait partie du caractère féminin, de la féminité. Ce n'est pas parce qu'en ce moment je suis raide comme un

passé-lacet que j'ai abdiqué la féminité. Vous pigez? Et je m'intéresse aussi à la mode parce que c'est une chose éminemment sérieuse. Autrement sérieuse que le sport ou la bagnole. Parfaitement. C'est un homme qui l'a dit, un grand, un célèbre, un écrivain, Jacques Chardonne. Vous n'avez qu'à vous taire. Ecoutez-ça: „La mode est chose sérieuse et on lui doit le respect. Elle se rattache à des combustions profondes dans les entrailles de la terre; ces effluves cosmiques forment des tourbillons légers qui vous agitent et vous mènent: ils agissent sur l'art, les goûts, les sentiments, la pensée, tout le comportement inconscient des hommes”.

Vous allez certainement m'objecter que la mode dont parle Jacques Chardonne n'englobe pas seulement les habitudes en matière d'habillement, mais aussi les goûts collectifs, les manières passagères de vivre et de sentir, etc. Que ce dont parle Jacques Chardonne, c'est la mode en général. Et que comme citation, c'est plutôt lourd, ce que je vous sers. N'empêche que j'ai raison. „Une femme surtout doit tribut à la mode” — a écrit Boileau. Et Boileau est tout de même plus grand que Jacques Chardonne. Quant à la citation, lourde ou pas lourde, c'est la mode. Actuellement, il y en a partout. Au cinéma (Godard), dans les guides touristiques, à la radio, même les bouteilles de „Zubrowka” que j'ai rapportées de Pologne étaient ornées d'une citation (de l'écrivain anglais Somerset Maugham). Tout le monde tient à prouver qu'il connaît ses classiques sur le bout du doigt. Même si en réalité on n'est qu'un béotien, il faut faire semblant d'être cultivé. C'est la mode. Alors, comme „une femme surtout doit tribut à la mode”...

Je vous fais une grosse bise.

MARTINE

RADY

od

SERCA

DROGA PANI ANNO!

Nie jestem już bardzo młoda. Mam lat czterdzieści. Bardzo nie wiecie mi się w życiu. Piętnaście lat temu wyszłam po raz pierwszy za mąż i po dwóch miesiącach musiałam się rozjechać. Małżeństwo było nieporozumieniem. Powtórnie wyszłam za mąż przed czterema laty. Początkowo wszystko układało się świetnie, byłam szczęśliwa, zakochana, uradowana. Ale od pół roku znowu zaczęło się psuć. Mój mąż coraz częściej przebywa poza domem, widują go z różnymi paniami, wyjeżdża na niedziele, do mnie prawie się nie odzywa, nie mówiąc już o innych sprawach, bardziej intymnych.

Ostatnio spytałam go wprost, co to ma znaczyć. Odpowiedział — nic. Przecież, możemy być dalej małżeństwem, ale ja muszę mieć pełną swobodę. Wpadłam w rozpacz. Ja nie uznaję takich rozwiązań, nie mogę być narażona na śmiechy, obmowy, dowody współzucia. Gdy tak postawiłam sprawę, mój mąż oświadczył, że wobec tego rozjeżdżemy się. Nie wytrzymałam. Zaczęłam płakać i błagać go, by mnie nie opuszczał. Odpowiedział, że zostanie ze mną. No i został, ale nic się nie zmieniło. Tak samo do mnie nie mówi, nie żyjemy ze sobą: tylko tyle, że zjada w domu obiad, że piore mu koszulę, skarpetki, że o niego dbam, by mógł mnie spokojnie zdradzać. No i co dalej robić? Widzę, że z tego małżeństwa nic nie będzie. Niech mi pani powie, pani Anno, dlaczego tak się dzieje, że jedne kobiety mają szczęście, a inne w żaden sposób nie mogą sobie ułożyć życia.

NIESZCZĘŚLIWA

DROGA PANI!

Nie powinna pani była pociągać się do błagań i prób o litość. To nie godne kobiety. Teraz otrzymała pani jałmużnę, a jałmużna szczęścia nie daje. Musi pani się na coś zdecydować, albo pragnie pani utrzymać związek małżeński, by wobec ludzi to dobrze wyglądało, albo pragnie pani związku z mężem nie pozorować, ale prawdziwego. Jeśli dla wygody, dla ludzi godzi się pani na utrzymywanie fikcji — to już pani sprawa. Jeśli chce pani być szczęśliwa, trzeba twardo postawić warunki, a w razie nieprzyjęcia ich — zerwać z mężem. Moim zdaniem to lepsze niż ciągła szarpanina nerwowa — kiedy wróci, z kim mnie zdrada, dlaczego mnie przestał kochać?

ANNA

KOCHANA PANI ANNO!

Stała się okropna rzecz. Zakochałem się, ja starszy człowiek, czterdziestosekstoletni, w koleżance mojej córki. Straciłem zupełnie głowę. Dziewczyna ma lat osiemnaście, jest cudowna, przy niej sam staję się młody. Oczywiście nikt o tym nie wie. Ale moja córka może się w każdej chwili dowiedzieć, przecież przed jej czy później koleżanka ją o tym powiadomi, z głupoty, z chęci zaimponowania, z lekomyślności. Ta mała niczym nie ryzykuje. Nie mogę sobie wyobrazić, co się stanie, gdy

moja córka, a następnie żona, poznają tę prawdę.

Muszę pani opowiedzieć, jak to się stało. Poznałem tę małą w naszym domu, gdy przyszła do mojej córki. Zasiadła się, zrobiła się późno i moja żona kazała mi ją odprowadzić do domu. Odprowadziłem. I wtedy się zaczęło. Mała mnie sprowokowała, to prawda, ale ja, stateczny pan, uległem, dałem się zaplątać na jej miode wdzięki. I teraz wpadłem. To już trwa trzy miesiące. Błagam o radę, jak się z tego wyplątać.

LEKKOMYSLNY

SZANOWNY PANIE!

Właściwie całą ocenę swego postępowania zawarł pan w podpisie pod listem: „lekomyślny”. Otóż to. Lekomyślny jak sztabak, jak młodzik, a nie jak dojrzały człowiek. Tę niemądrą przygodę trzeba jak najszybciej zlikwidować, wymazać z pamięci, wyrzucić z serca, póki czas, póki nie będzie za późno.

Oczywiście cała wina za tę historię spada na pana. Dziewczyna jest smarkatą i to, że pana sprowokowała nie jest żadnym argumentem. Kobiety zawsze prowokują, mężczyźni muszą być odporni na te prowokacje, bo inaczej przestałyby istnieć wszelkie życie rodzinne i rodzinne szczęście. Nie pytam o żadne szczegóły, to mnie nie inter-

resuje. Nie zastanawiam się, jak ma pan wybrnąć z tej sytuacji — to już pana w tym głowa. W każdym razie, od razu, dziś jeszcze trzeba to wszystko zerwać. A przed dziewczyną udawać jak gdyby nigdy nic nie było między wami. Należałoby tylko ją prosić, by nie chwaliła się przed koleżankami, a zwłaszcza przed paną córką swoim „sukcesem”.

Dość było stało, że ten list do nas nadszedł. Może inni panowie — ojcowie, mężowie zastanowią się nad tą sprawą i będą ostrożniejsi w uleganiu małym prowokacjom.

ANNA

OWCE

w sztucznym futrze

Aby uzyskać cenną wełnę, strzyże się owce. Nie wychodzi im to na zdrowie: w Australii w ciągu miesiąca po strzyżeniu ginie z chłodu do miliona tych zwierząt. Aby uniknąć strat, dla wystrzyżonych merynosów stworzono specjalną odzież z błony polietylenowej o grubości 0,05 mm. Chroni ona owce przed wiatrem i zimnem, a po kilku tygodniach rozpada się. W ten sposób zwierzę nie trzeba „rozbierać”, gdy zaczyna im odrastać wełna.

PRACE FERNANDA LEGERA W WARSZAWIE



„Komposition” i „Le visage aux mains” to tytuły dwóch kompozycji Fernanda Légera ofiarowane przez wdowę po tym wielkim francuskim malarzu Muzeum Narodowemu w Warszawie. Wykonane one zostały w 250 odlewach, sygnowanych przez autora. Odbitki stanowiące dziś własność Muzeum należą do wcześniejszych, mają bowiem numery 32 i 41 kolejnych egzemplarzy.

ralnych i filmowych. Tym cenniejsze są dary przekazane przed kilku laty przez p. Nadię Léger, które prezentujemy na zdjęciu.

Kompozycje Légera eksponuje p. mgr Hanna Kotkowska-Bareja, absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, która od 12 lat pracuje w Muzeum Narodowym w Warszawie. Prowadzi ona działy współczesnej rzeźby i sztuki zdobniczej. (kk)

GEOGRAFIA CHORÓB NOWOTWOROWYCH NA EMIGRACJI I W KRAJU

BADANIA nad nowotworami, prowadzone w większości krajów z niezwykłą intensywnością, obejmują także badania epidemiologiczne. Poznanie „wroga” to przecież również wiedza o tym, ile osób choruje na raka, ile nowych zachorowań stwierdza się każdego roku, ile zgonów spowodowanych jest przez nowotwory złośliwe. To także ustalenie, jakie rodzaje nowotworów występują w danej populacji najczęściej.

W Polsce od 1951 r. istnieje obowiązek rejestracji nowotworów złośliwych i zgłaszania danych o każdym nowym zachorowaniu do wojewódzkiego ośrodka onkologicznego.

Prof. dr Tadeusz Koszarowski, dr Helena Gadomska, dr Barbara Warda i mgr Zofia Drożdżewska z Instytutu im. Marii Skłodowskiej-Curie opublikowały pracę „Badania zapadalności i umieralności na nowotwory złośliwe w Polsce i w terenach wybranych 1962—1965”, w której podali wyniki badań będące — jak się to ocenia — bardzo bliskie odzwierciedlenia stanu rzeczywistego.

Dr Helena Gadomska z Instytutu Onkologii w Warszawie, do której zwróciliśmy się z prośbą o informacje na temat dokonanych badań, wraca do ich początku. Sygnałem, który zachęcił do podjęcia tej pracy, był list wystosowany przez Narodowy Instytut Zdrowia w Bethesda (Stany Zjednoczone) do warszawskiego Instytutu, informujący, iż w prowadzonych tam badaniach epidemiologicznych stwierdzono szczególnie wysoką zapadalność na nowotwory żołądka wśród emigrantów polskiego pochodzenia. Proszono o odpowiedź, czy podobnie wysoką zapadalność notujemy także w Polsce.

Podjęte w Instytucie badania daleko wykroczyły poza próbę udzielenia odpowiedzi na to tylko pytanie. Początkowo — mówi dr Gadomska — ograniczyliśmy się do badań na terenie Warszawy oraz powiatów mińsko-mazowieckiego i siedleckiego. W 1965 r. do badanych terenów włączyliśmy powiaty nowosądecki i cieszyński oraz Kraków. Wspomnieć warto, że w pracach podjętych w Cieszynie przez Instytut Onkologii w Gliwicach nie ograniczono się tylko do skompletowania danych statystycznych, dotyczących zapadalności i umieralności na nowotwory złośliwe, ale próbowano wzbogacić je o informacje na temat sposobu życia i odżywiania prowadzonego przez osoby, u których nowotwory stwierdzono. W przyszłości, po skompletowaniu bogatszego materiału, pozwolić to może na wyciągnięcie wniosków o istnieniu lub nieistnieniu związku między zachorowaniem na określony rodzaj nowotworu a sposobem życia.

Dysponując materiałem z terenów wybranych, w których akcje badań przygotowano i przeprowadzono szczególnie starannie, oraz materiałem z całego kraju (choć niepełnym), można pokusić się o wyciągnięcie wniosków na temat stanu rzeczywistego. Możemy obecnie przyjąć, że każdego roku na terenie Polski jest blisko 60 000 nowych zachorowań na nowotwory złośliwe.

Większa część tej grupy — to mieszkańcy ośrodków miejskich (około 33 000 osób), pozostałe, około 23,5 tys. — mieszkała na wsi. Wydaje się, że większa zapadalność na nowotwory złośliwe w miastach jest — przynajmniej w pewnej mierze — wynikiem braków w rejestracji i wykrywalności nowotworów u mieszkańców terenów wiejskich.

Sądzić można — mówi dr Gadomska — że istotnie w miastach częstsze są zachorowania, ale różnica między wsiami a miastem nie jest tak duża, jakby wskazywały obecne statystyki.

Drugie zaobserwowane zjawisko — to większa zapadalność na nowotwory złośliwe wśród kobiet niż wśród mężczyzn. Np. w r. 1964 zanotowano 15 886 zachorowań u mężczyzn i 20 562 u kobiet. Różnice te występują i w innych latach badanego okresu, co wiąże się zapewne w sporej mierze z faktem, iż często występujące u kobiet nowotwory narządu rodowego i nowotwory sutka są stosunkowo łatwo rozpoznawalne, łatwiejsze do wykrycia niż rak takich narządów wewnętrznych, jak płuca czy żołądek, często występujący u mężczyzn.

Skoro mowa o żołądku, wyjaśnijmy, że rak tego narządu jest w Polsce najczęstszą postacią nowotworu występującego u mężczyzn (od tego obrazu odbiega tylko Warszawa, gdzie mężczyźni najczęściej zapadają na raka płuca, a dopiero na drugim miejscu znajdują się zachorowania na raka żołądka). U kobiet na pierwszym miejscu są zachorowania na raka szyjki macicy, następnie raka sutka i nowotwory dróg żółciowych.

— Warto poinformować — mówi dr Gadomska — że statystyki polskie odbiegają od podobnych zestawień posiadanych przez inne kraje. Mimo iż rak sutka znajduje się na drugim miejscu wśród nowotworów wykrywanych u kobiet, to zapadalność nań jest u nas znacznie niższa niż w wielu innych krajach europejskich, że wspomnę choćby kraje anglosaskie, gdzie schorzenie to występuje szczególnie często. W Polsce notuje się też bardzo niski odsetek zachorowań na raka jelita grubego u mężczyzn. Stosunkowo mało liczne są też zachorowania na raka gruczołu krokowego, w Irlandii np. znajdujące się na pierwszym miejscu, jeśli chodzi o liczbę zachorowań. Niepokojące jest jednak, że zachorowania na ten rodzaj nowotworu wykazują tendencję zwyżkową. Być może, związane jest to po prostu z poprawą diagnostyki.

Prawdziwą przyczyną niepokoju może być jednak inny fakt, stwierdzony w polskich badaniach. Nowotwory płuca, zwłaszcza u mężczyzn, znajdują się na pierwszym miejscu w krajach Europy zachodniej. Wydaje się natomiast prawie pewne, że w Polsce także istnieje tendencja do wysunięcia się ich na czołowe miejsce w statystykach (u mężczyzn), bowiem liczba rejestrowanych chorych z tym schorzeniem stale wzrasta. Zapewne wiąże się to m. in., a może i przede wszystkim, z nałogiem palenia tytoniu. Sądzę, że zjawisko to będzie jeszcze jednym sygnałem, który zaalarmować powinien palaczy.

H. LEWANDOWSKA

Wymieniamy korespondencje

JAN RYDZEWSKI — Kraśnik Lubelski, ul. Mieszka I, nr 4 m 15 — pragnie korespondować z młodzieżą polonijną z Francji na temat ich zainteresowań, nauki i życia towarzyskiego. Jego hobby to sport, muzyka big-beatowa, film i malarstwo artystyczne. Chętnie wymieniałby widokówki kolorowe.

WŁONA KOZIARZ — Katowice, ul. Fiołków 3 m 10 — ma 16 lat, zna język francuski i chciałaby korespondować z rówieśnikami na temat sportu, filmu, teatru i muzyki. Może również wymienić zdjęcia piosenkarzy i zespołów młodzieżowych oraz widokówki. Odpowie na każdy list.

ADAM MYDLARZ — Pruszków k/Warszawy, ul. 3 Maja 16a m 3 — za pośrednictwem „TP” pragnie nawiązać przyjaźnielską korespondencję z Rodakami z Francji lub Belgii. Bardzo interesuje się życiem naszej Polonii i chętnie wymieniałby poglądy i zainteresowania z kimś, kto zechce do niego napisać. Oczekuje na listy.

EWA KRASZEWSKA — Szczecin, ul. Montwiła 1 m 10 — chciałaby korespondować z młodzieżą z Francji i Belgii na temat turystyki, filmu i muzyki nowoczesnej. Zbiera widokówki, foty zespołów amatorskich i pocztówki dźwiękowe.

WŁADYSŁAW JUZAK — Opole, ul. Mondrzyka 15 — chętnie nawiąże korespondencję z koleżanką lub kolegą w wieku od 18 do 20 lat na tematy młodzieżowe z uwzględnieniem sportu, a w szczególności podnoszenia ciężarów. Oczekuje na listy w języku polskim lub rosyjskim.

WOJCIECH BARTKOWSKI — Bytom, ul. Brzezińska 10 m 2 — poszukuje korespondentów wśród młodzieży polonijnej (najchętniej miłej dziewczyny), którzy znają język polski. Pasjonuje się kulturą Francji i krajów Beneluksu. Jest zamiłowanym turystą. Interesuje się geografią, muzyką, językami obcymi. Ma lat 17.

LISTY Józefa Grzybka

PANIE REDAKTORZE!

Otrzymałem ostatnio list od jednej Czytelniczki z Paryża. List ten dotyczy nowoczesnej sztuki. Stoi w nim m.in. tak: „Panie Grzybku! Pan jest chłop bystry i roztropny. Ntęch pan napisze w którymś ze swoich „Listów”, co pan sądzi o nowoczesnej muzyce poważnej, o nowoczesnym malarstwie i o nowoczesnej literaturze. Ale niech się pan wypowie szczerze, tak z ręką na sercu. Ja mieszkam razem z dziećmi; mój zięć i moja córka często słuchają audycji nadawanych przez „France-Musique”, więc ja słucham też. Jak nadają muzykę dawną, na przykład Mozarta, albo Bacha, albo Chopina, to choć jestem prosta kobieta, to wzrusza mnie to, wydaje mi się, że rozumiem, bo ta muzyka jest melodyjna, słuchając jej wyobraża sobie człowiek różne krajobrazy, podpytywają do serca wspomnienia, słowem, to do mnie przemawia. Za to muzyki nowoczesnej nie mogę znieść. Nic z tego nie mogę pojąć i tylko mnie to denerwuje. Córka, zięć i ich znajomi czytają czasem także różne nowomodne książki. Ponieważ ja po francusku umiem niezgorzej, to zaglądam niekiedy do tych książek. I zawsze strasznie się denerwuję, bo czytam, czytam, i nic zupełnie nie kapuję. Ostatnio jeden znajomy pożyczyl zięciowi powieść zatytułowaną „Nombres”, czyli po polsku — „Liczby”, którą napisał Philippe Sollers. Każde dosłownie zdanie tej książki jest rebusem, łamigłówką. Zajrzałam na koniec. Myślałam, że ktoś się w końcu pojawi — ktoś, to znaczy jakiś bohater, jakaś postać — że ktoś się ożeni albo że ktoś się w tej książce w kimś zakocha, albo że ktoś zachoruje czy ozdrowieje. Ale gdzie tam! Na końcu są takie same rebusy, jak na początku... „Co to jest?” — pytam się zięcia. „Pan Bóg raczy wiedzieć!” — on na to. No to ja mówię: „I po co to czytasz, to nic nie znaczy!” Na to on: że nieprawda, że to na pewno coś znaczy, bo przecież wydało tę książkę poważne wydawnictwo, w wydawnictwie pracują specjaliści, którzy wiedzą, co wydają, itd. Sama nie wiem, co o tym myślę. Niech pan, panie Grzybku, wypowie się kiedyś w tej sprawie”.

List ten ucieszył mnie — ucieszyło mnie to, że zostałem nazwany „chłodem bystrym i roztropnym”, i to tym bardziej, że żona od niepamiętnych już lat wmawia mi uproczywie coś wręcz przeciwnego. List ten — powiadam — ucieszył mnie, ale sprawił mi on także w niejake zakłopotanie. No bo co taki zwyczajny Grzybku jak ja może mieć do powiedzenia o nowoczesnej sztuce? Chyba tylko swoje własne, wysoce niefachowe zdanie?! Przez szereg dni wykręcałem się od tego tematu jak piskorz. W końcu jednak powiedziałem sobie, że przeciw tej pani z Paryża o nic innego nie chodzi, jak tylko o moje zdanie, i zabrałem się do pisania.

Zacznijmy może od nowoczesnej literatury. Mnie też od czasu do czasu trafiają do rąk książki — dziwolągi. Raz, pamiętam, jeden znajomy z Polski przysłał mi tom wierszy jednego młodego krajowego poety. Był to właściwie zbiór szarad. Osądziłem, że to są bzdury, ale zaraz potem stanąłem w duchu przed tą książką na baczność. „Przecież to zostało WYDANE — rozumowałem — w wydawnictwie są specjaliści, wiedzą, co puszczają w świat!” Tak myślałem dawniej, ale dziś jestem innego zdania. Dziś jestem zdania, że nawet i w najpoważniej-

MOJE ZDANIE O SZTUCE NOWOCZESNEJ

szym wydawnictwie mogą pracować skończona osy i barany.

Co mnie tak napaliło, dlaczego wyrażam się tak ostro? Otóż ostatnio przeczytałem w jednej gazecie następującą wiadomość: do kilku większych wydawnictw oraz do trzydziestu znanych pisarzy zachodniemieckich, austriackich i szwajcarskich nadszedł fragment powieści; w załączonym liście autor prosił o nadesłanie mu opinii o swoim utworze. Zarówno wydawnictwa, jak i większość pisarzy odpowiedzieli nieznanemu twórcy, że jego „utwór” to nędzne wycieczki. I nagle zapanowała konsternacja. Wszystkie odpowiedzi wydrukował zachodniemiecki tygodnik satyryczny „Pardon”, publikując jednocześnie odrzucony fragment prozy, który okazał się wyjątkiem z powieści wielkiego pisarza Roberta Musila „Człowiek bez właściwości”. Przyznając się do winy, redakcja „Pardon” stwierdziła jednocześnie, że najostre skrytykowały nadesłany maszynopis wydawnictwo „Rowohlt”, które w r. 1952 opublikowało tę własną powieść Musila.

Czy to nie woła o pomstę do nieba? Sami powiedzcie?!

Fakt, że dany utwór ukazał się drukiem o niczym jeszcze nie świadczący. Bywa, że reklama z byle czego robi „arcydzieło”, bywa także, że nikt nie chce wydać prawdziwego arcydzieła, i ukazuje się ono dopiero po śmierci autora. Czy chcę przez to powiedzieć, że cała nowoczesna literatura jest jedną wielką lipą, bzdurą, oszustwem? Wcale nie. Są wśród pisarzy ludzie, którzy piszą rzeczy trudne dlatego, że

w trudzie poszukują czegoś nowego. Ale wielu jest i takich, którzy zaciemniają swoje książki i piszą bez kropek i bez przecinków tylko dlatego, że nie mają do powiedzenia.

To samo powiedziałbym o nowoczesnej muzyce i o nowoczesnym malarstwie. Mnie osobiście nowoczesna muzyka najczęściej przywodzi na myśl zawarty w „Potopie” opis wjazdu Tartarów do Lwowa („kilku dźwiękało przeraźliwie w miedziane talerze, inni bili w bębny, inni grali kozacką modą na teorbachach, wszyscy zaś, z wyjątkiem piszczałników, śpiewali, a raczej wylali”, itd.), a jeśli idzie o malarstwo, o te wszystkie nowomodne „pikasy”, to najczęściej na ich widok flaki się we mnie przewracają. Najczęściej, ale nie zawsze. Niektóre utwory nowoczesnej muzyki zastanawiają. Niektóre obrazy współczesnych malarzy przykuwają uwagę. Nie rozumiem ich, jestem samoukiem, nie mam odpowiedniego wykształcenia, ale czuję w nich jakiś niepokój, jakieś poszukiwanie. To mi wystarczy. Darzę je szacunkiem.

Ale miłością darzę samych tylko artystów „staroświeckich”: Sienkiewicza, Matejkę, Moniuszkę. Dzieci się ze mnie śmieją i powiadają, że ja jestem człowiek starej daty. Niech sobie gadają. Ja tam wiem swoje, i już.

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

Józef Grzybek
z Nordu

PKO

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème
Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin

BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A.

- Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.
- Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
- Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.
- Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe
- Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

Bardzo niskie koszty, szybka i wykwalifikowana obsługa

BANK PKO S.A.

23, rue Taitbout, PARIS IX-ème

§§ Mecenas radzi

Pan Józef JACKOWSKI — GUBIN, woj. Zielona Góra.

Po jakim kursie wymienia się obecnie franki francuskie na złote? Pobieram francuską rentę inwalidzką w wysokości 359 frs. Czytałem w „Tygodniku”, że za 50 fr otrzymuje się w Polsce 720 złotych.

Chodzi na pewno o jakieś nieporozumienie, gdyż kurs wymiany walut jest jeden, oficjalny, wynosi 4,82 złotego za 1 franka. Natomiast przy przeliczeniu rent, do 4,82 złotego za 1 franka, około 50 proc. dorzuca ze swych funduszy Państwowy Zakład Ubezpieczeń Społecznych w Polsce. Rencista otrzymuje więc wtedy 7,50 zł za 1 franka. Odpowiada to cenom rynkowym w Polsce, to znaczy, że wzajemna siła zakupu danej waluty jest równomierna w krajach ich obiegu.

Natomiast przekazując w ramach pomocy dla rodzin w Kraju franka z Francji za pośrednictwem Banku PKO w Paryżu, rodzina w Kraju otrzymuje w przeliczeniu za 1 franka 14,40 złotego. Wymieniając zaś przy wyjeździe na urlop do Polski lub w odwiedziny do rodziny w Kraju ponad 250 franków na złote polskie, korzysta się z tzw. premii turystycznej i wtedy w przeliczeniu 1 frank = 8 złotych.

Z żałobnej karty Wychodźstwa

Ostatnio w kronikach żałobnych emigracji zanotowano odejście spośród żyjących:

TOMASZ PAWULA, b. oficer 2 Korpusu Wojsk Polskich, uczestnik bitwy pod Monte Cassino, odznaczony licznymi medalami polskimi, angielskimi i włoskimi, zmarł 1 grudnia 1968 r. w Chicago.

WŁADYSŁAW PALYS, członek ZNP, prezes Tow. Andrzeja Kmicica, weteran II wojny światowej, zmarł 2 grudnia 1968 r. w Chicago.

BERNARD STURGULEWSKI, weteran II wojny światowej, zmarł tragicznie na Alasce 2 grudnia 1968 r. w wieku 49 lat.

Ksiądz-pralat **STANISŁAW ZJAWINSKI**, lat 57, urodzony w Polsce w 1901 r., wieloletni proboszcz polskich parafii w stanie Indiana (USA), działacz społeczny i polonijny, zmarł 26.XI.1968 r.

MICHAŁ SMOŁOWIK, lat 57, długoletni nauczyciel i kierownik szkół polskich w Anglii i USA, b. porucznik 5 Kresowej Dywizji Piechoty, zmarł 3 grudnia 1968 r. w Chicago.

STEFAN S. WOZNICKI, biskup katolicki, wieloletni działacz Rady Polonii Amerykańskiej, zmarł 11 grudnia 1968 r. w Waszyngtonie.

TADEUSZ KEDZIERSKI, b. żołnierz-lotnik Polskich Sił Zbrojnych — synoptyk i wykładowca meteorologii w Szkole Lotniczej w Mendoza, zmarł 29 listopada 1968 r. w Mendoza (Argentyna).

LEON ZAMIARA, b. szef mech: 4 p. lotn., odznaczony licznymi medalami polskimi, angielskimi, francuskimi i belgijskimi, zmarł 18.XII.1968 r. w Toronto (Kanada). Żył lat 67.

MIECZYSLAW RZEZNIK, pik rezerwy, członek francuskiego ruchu oporu, żołnierz 29 ZPP przy 1 Armii Francuskiej, uczestnik walk na Zachodzie, długoletni działacz Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, zmarł w Warszawie 13 lutego 1969 r.

JUR MENDE, lat 57, komandor ppor., odznaczony Krzyżem Walecznych, francuską Legią Honorową i in. odznaczeniami polskimi i brytyjskimi, zmarł 13.I.1969 w Freeport (Wyspy Bahama).

FRANCISZEK CHYMOWSKI, lat 67, st. sierż. II Korpusu WP, zmarł 21.I.1969 w Huddersfield (Anglia).

STANISŁAW RAKOWICZ, kapral, żołnierz Baonu Łączności, uczestnik kampanii włoskiej, odznaczony Krzyżem Monte Cassino, zmarł 13.I.1969 w Londynie.

MARIAN REINSTEIN, lat 80, major Polskich Sił Powietrznych, zmarł w Londynie 13.I.1969.

WŁADYSŁAW BĄCZEK, lat 64, uczestnik walk pod Tobrukiem, zmarł w Londynie 12.I.1969.

FRANCISZEK SKORNIA, sierżant-zbrojmistrz Polskiego Nocnego Dywizjonu Myśliwskiego nr 307, zmarł 22.XII.1968 w Panton, Devon (Anglia).

BOLESŁAW OSTROMECKI, lat 64, plutonowy S. K., uczestnik walk pod Monte Cassino, odznaczony licznymi medalami, zmarł 24.I.1969 r. w Londynie.

JAN PEKSYC, lat 57, kpt. 3 Pułku Grenadierów Śląskich, kawaler V. M. i Croix de Guerre, zmarł 22.I.1969 w Bushey Herts (Anglia).

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI, lat 74, poeta, jeden ze współtwórców przedwojennej grupy „Skamander”, zdobywca złotego medalu olimpijskiego za tom poezji „Laur olimpijski”, zmarł 13.II.1969 r. w Londynie.

EDMUND PIESIEWICZ, lat 67, kpt. artylerii, żołnierz II wojny światowej, odznaczony licznymi medalami polskimi i zagranicznymi, zginął tragicznie w Leicester (Anglia) 25.I.1969.

MARIAN BUCZYŃSKI, lat 61, kapral I Samodzielnej Brygady Spadochronowej, zmarł w Szkocji 29.I.1969.

HILARY MIKOSZA, lat 74, kapitan wielkiej żeglugi, uczestnik dwóch wojen światowych, odznaczony Krzyżem Walecznych, zmarł w Londynie 5.II.1969.

KONRAD SOBOCIUK, lat 66, uczestnik bitwy pod Monte Cassino i innych bitew II Korpusu We Włoszech, zmarł w szpitalu w Stroud Glos (Anglia) 17.I.1969.

ADAM KOC, lat 74, legionista, pułkownik, komendant POW, były minister w latach przedwojennych i w rządzie emigracyjnym gen. Sikorskiego, zmarł w Nowym Jorku 3.II.1969.

JAN SWIERCZYŃSKI, lat 71, generał brygady, były dowódca Artylerii 2 Warszawskiej Dywizji Pancerniej, wielokrotnie odznaczony, zmarł w Buenos Aires 18.I.1969.

WŁODZIMIERZ v. POPLAWSKI, lat 63, dziennikarz, reporter „Kuriera Porannego” w Warszawie w latach międzywojennych, po II wojnie pracownik agencji prasowych we Francji i Anglii, zginął w wypadku samochodowym w Algierze 23.I.1969.

STANISŁAW WASYLAK, lat 59, żołnierz I Dywizji Pancerniej, zmarł w Naiswitt (Anglia) 25.I.1969.

HELENA KUTLER, lat 62, była pracowniczka Polskiego Czerwonego Krzyża w Kairze, zmarła w Manchester (Anglia) 15.II.1969.



FOLKLOR POLSKI: UROCZYSTOŚCI

Z okazji Nowego Roku i świąt prawie wszystkie kolonie polskie obchodziły tradycyjnym polskim zwyczajem Gwiazdkę i Nowy Rok. Każda impreza odbywała się na tle polskiego folkloru. Polskie pieśni, tańce oraz polskie placki były w programie każdego spotkania. Imprezy takie zorganizowały liczne polskie organizacje.

BÉTHUNE. Gwiazdkę zorganizowały wspólnie stowarzyszenia polskie, m.in. komitet rodzicielski, Związek Kobiet Polskich. Impreza odbyła się w sali świetlicowej Związku Kolejarzy. W skład prezydium weszli m.in. p. Edmund Ostrowski, p. Wawrzynkowska i p. Kazmierczak. Władze miejskie reprezentował p. Marceau Sauvage, radny miejski. W spotkaniu wzięło udział przeszło 200 osób. Prasa miejscowa podkreśliła więź Polaków na emigracji i chęć zachowania polskich tradycji.

BRUAY-en-ARTOIS. Dzieci polskie pod kierunkiem p. Roszak i p. Norberczak pięknie urozmaiciły spotkanie noworoczne, zorganizowane przez komitet miejscowych stowarzyszeń polskich. Miłą atrakcją były występy chóru młodzieżowego pod kierunkiem artystycznym p. Banaszaka. Prezydentem honorowym spotkania był p. Krawczyk — prezes miejscowych stowarzyszeń polskich, w otoczeniu p. Idziaka — wiceprezesa, p. Norberczaka — sekretarza, p. Roszaka — skarbnika, p. Szambelańczyka — prezesa honorowego polskich stowarzyszeń religijnych we Francji i p. Witkowskiego — prezesa akcji młodzieżowej.

GUESNAIN. Stowarzyszenie folklorystyczne „Krakowiak” zorganizowało swoje doroczne święto z okazji Nowego Roku. Tańce i śpiewy, zaprezentowane przez zespół, wniosły ciepłą i serdeczną atmosferę. Zebranie zaszczylił swoją obecnością wicekonsul PRL w Lille i mer miasta p. Dumont. W skład komitetu honorowego weszli ponadto p. Hary — prezes grupy „Krakowiak”, państwo Kaczmarek i Legenza, p. Chmielina — prezes grupy folklorystycznej z Waziers, p. Jankowska — skarbnik i p. Ferencz — prezes stowarzyszenia gimnastycznego. Prawie cała młodzież obecna na zebraniu ubrana była w stroje narodowe.

MAGNY. Tradycyjnym zwyczajem komitet rodzicielski zorganizował dla dzieci i starszych spotkanie noworoczne. Tańce i śpiewy wykonane przez najmłodszych, spotkały się z gorącym aplauzem. Tradycyjne ciasta polskie i cukierki zakończyły uroczystość.

BRUAY-en-ARTOIS (Haillicourt). Polacy, zamieszkali w dzielnicy 2-bis, zorganizowali wspólną gwiazdkę w salach merostwa Haillicourt. Kierownictwo spotkania spoczywało w rękach p. Smektały — prezesa stowarzyszenia miejscowych, p. Baranka — wiceprezesa, p. Rybczak — sekretarza, p. Kaczmarek — skarbniczki. Wśród gości obecny był p. Beauvois — mer miasta, p. Walkowiak — przewodnicząca Związku Kobiet Polskich, p. Ływakowska — prezeska Ligi Kobiet. Przemówienie o okolicznościowe wygłosił p. Smektała i mer miasta.

Z ŻYCIA RÓŻNYCH TOWARZYSTW

AVION. Miejscowi buliści, stowarzyszeni w organizacji „Sang et Or” wybrali ostatnio do swojego zarządu p. Jana Lesienia na zastępcę prezesa, p. Leona Ratyka — na sekretarza i p. Alberta Kowolika na skarbnika. W skład rady administracyjnej weszli p. Franciszek Adamecyk i p. Albert Cyfka.

DECHY. Do zarządu miejscowej sekcji dawców krwi został ostatnio wybrany p. Stefan Sitarski.

WINGLES. Delegatami stowarzyszenia medalistów pracy na poszczególne rejony

POSZUKIWANIE OSÓB ZAGINIONYCH

P. Jan RZECHACZEK, 3, Avenue de la République 87-Neauphle-le-Château (Yvelines) poszukuje swej kuzynki Ludwika NOWAKOWICZ, zamieszkałej przed wojną we Lwowie, ulica Szkolna (koło kościoła św. Marcina). Po wojnie p. Nowakowicz przebywała jakiś czas we Wrocławiu. Wszystkie informacje na temat poszukiwanej prosimy kierować: M. Jan RZECHACZEK, adres jak wyżej (Francja).

„MISS COUTURE” A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives)
Siedziba: 199 rue de Paris LILLE,
Telefon: 53-10-03

Konfekcja męska,
damska i dziecięca

■ Suknie ■ spódnice
■ swetry ■ bluzki
■ popeliny ■ tergal

PIERZE ▲ WSYPY ▲ POSZWY ▲ DAMASY

Ceny niskie

Na żądanie wysyłamy próbki

NASZA KRONIKA RODZINNA

NIECH ZDROWO ROSNĄ!

Rodziny naszych Rodaków powiększyły się. Ostatnio urodzili się:

ST. ETIENNE: Helène-Pascale Kozłowska, Eric Piasecki. **DOUAI:** Filip Adamek, Waleria Wróblewska, Hervé Pawlacyk, David Krajewski, Karolina Zambrowska, Marc Dembski, Eric Kula. **LE CREUSOT:** Christophe Jankowski. **ROOST-WARENDIN:** Lysiane Karpusta. **METZ:** Marie-Christine Górniak. **THIONVILLE:** Gilles Koralewski (Hettange). **LABEUVERIERE:** Emmanuel Brożek. **AUCHEL:** Stefan Gądomski. **VERQUIN:** Filip Słoma. **LIÉVIN:** Christophe Pośpieszny. **CARVIN:** Natalia Kamerduła. **NOYELLES-sous-LENS:** Waleria Rudzka. **ST. VALLIER-LE CREUSOT:** Fryderyk Karcz. **BULLY-les-MINES:** Christophe Paluszkiewicz.

Szczęśliwym Rodzicom życzymy dużo pociechy z najmłodszych!

Wingles i okolicy zostali ostatnio wybrani p. Józef Bober i p. Franciszek Mrzokowski.

WAHAGNIES. Ostatnio odbyło się tu walne zebranie medalistów pracy. Po dyskusji nad sprawozdaniami został wybrany nowy zarząd, do którego weszli m.in. p. Grocholski i p. Smelkowski — jako asesory.

ST. VAILLIER. Byli uczestnicy walk w Algierii utworzyli ostatnio sekcję w St. Vallier. Sekretarzem generalnym sekcji został wybrany p. Piotr Nowak. Postanowiono przeprowadzić szereg imprez towarzyskich.

LES GAUTHERETS. Miejscowa młodzież polska wybrała ponownie na swojego prezesa p. Henryka Ratajczaka. W skład zarządu wchodzi: p. Michał Wartak — wiceprezes, p. Daniel Witkowski — sekretarz, p. Daniel Szmatała — zastępca sekretarza, p. Jan Tomicki — kierownik sportowy, państwo Jeziorok — kierownicy zespołu folklorystycznego. Kontrolerami zostali p. Ryszard Hardyn i p. Michał Wartak, a gospodarzem p. Stecznowski. W programie na bieżący rok przewidziano szereg występów zespołu folklorystycznego.



MISS „SOKOŁA” W CARVIN

Tradycyjnym zwyczajem Stowarzyszenie Gimnastyczne „Sokół” w Carvin (Pas-de-Calais) zorganizowało zabawę w Oignies, podczas której przygrywała orkiestra Stefana Kubiaka. Członkowie „Sokoła” bawili się wesoło. Podczas zabawy wybrali też „Miss SOKOŁA Carvin” na rok 1969. Została nią 17-letnia

Ingrid Hansel z Ostricourt, zaś pierwszą damą dworu została 17-letnia Daniela Wielgosz z Flers-en-Escrebieux, a drugą damą dworu 19-letnia Maria Lucyk z Oignies. Na zakończenie zabawy jej uczestnicy wykonali pamiątkowe zdjęcie — pośrodku z „Miss SOKOŁA Carvin” i jej damami dworu.

SPOTKANIE W TROYES

W sali Brasserie du Théâtre w Troyes odbyło się, zorganizowane przez Towarzystwo Pomocy Oświatowej, spotkanie działaczy polonijnych i wielu Rodaków zamieszkających w Troyes i okolicach z przedstawicielami Konsulatu Generalnego PRL w Paryżu.

W nastroju szczerzej rozmowy, którą kierował wieloletni prezes Towarzystwa, p. Mieczysław Proch, stawiano pytania, poruszano różne zagadnienia z życia Polonii i Kraju. Na pytania odpowiadał p. konsul Wolny i attaché konsularny p. Studnicki. Głos zabierali w dyskusji pp.: Jaśkowiak, Łuczkiwicz, Kwiatkowski, Rosada, Kieraś, Szczuchura, Wawrzyniak, Rola, Kierzkowski, Wacław Proch, Gałuszka, panie: Kierzkowska, Kwiatkowska, Drzewiecka.

Spotkanie to przyczyniło się do bliższego wzajemnego poznania Polonii i przedstawicieli Konsulatu.

Uczestnicy spotkania wyrażali życzenie, aby tego rodzaju rozmowy mogły odbywać się częściej.

B. DOWOJNA-BIENAIME

TEUMACZKA
PRZYŚIĘGŁA
PRZY WYŻSZYCH
SĄDACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe
ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle
PARIS (5^e)

TELEFON: ODEon 41-17
METRO: PONT-MARIE

STEFAN GRABOWSKI NIE ŻYJE

HALLICOURT. Z głębokim żalem odprowadziło miejscowe społeczeństwo polskie i francuskie na wieczny spoczynek zasłużonego działacza społecznego p. Stefana GRABOWSKIEGO. Zmarły kombatant wojny 1939-45, był odznaczony dużym medalem pracy, medalem „Résistance” za udział w akcjach organizacji „Monika”. Był on założycielem miejscowego koła „Amicale des Médailles du Travail” oraz czynnym członkiem wielu miejscowych organizacji społecznych. W kopalni pracował od 1926 do 1957 roku. Chorował ciężko na pylec. Zmarł w wieku lat 66. W pogrzebie wzięło udział m. in. p. Honoré — prezes okręgowy wszystkich organizacji medalistów pracy, p. S. Nawrot i p. H. Thomas, administratorzy kopalni. Zastępcy Zmarłego podkreślił w swym przemówieniu p. Honoré.

UROCZYSTOŚCI W LAMBERSART

Ostatnio odbyła się tu w merostwie uroczystość wręczenia merowi Lambersart (Nord) p. Jules Maillot orderu Legii Honorowej. Na uroczystość przybył i wręczenia orderu dokonał minister ekonomii i finansów p. Ortoli. Uczestniczyli w niej też licznie przedstawiciele wojska, organizacji społecznych, miejscowe osobistości. Wśród nich obecny był również p. Paweł Poziemski, prezes Związku Uczestników Polskiego Ruchu Oporu we Francji oraz prezes Federacji Kombatantów Alianckich w Europie, którego mer p. Maillot serdecznie powitał i w swym przemówieniu podkreślił zasługi prezesa p. Poziemskiego dla przyjaźni francusko-polskiej, dla pamięci braterstwa broni i wspólnie przelanej krwi. Szampan i serdeczne życzenia dla mera p. Maillot zakończyły tę miłą uroczystość.

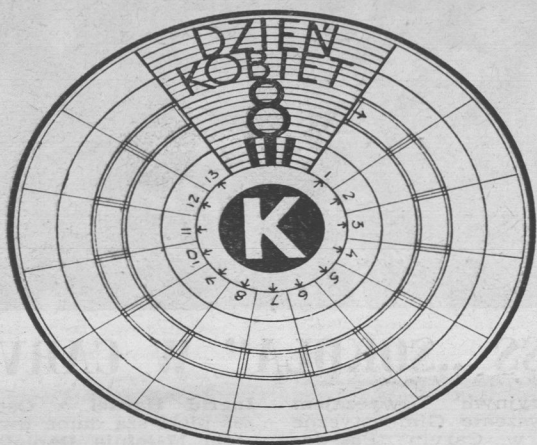
Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Z żalem donosimy, że ostatnio odeszli od nas:

LALLAING: Stefan Solecki. **THIONVILLE:** Franciszek Zieleskiewicz. **CALONNE-RICOUART:** Katarzyna Wlazlak z domu Sliwińska, lat 94. **DOUAI:** Aniela Burdza, lat 77, Rozaly Petit z domu Szajkowska, lat 44, Wiktoria Toporek z domu Gembołys, lat 77. **BARLIN:** Józef Maciejewski, lat 67. **OSTRICOURT:** Anna Filsztych z domu Zawadzka, lat 82. **LIÉVIN:** Ignacy Kancłerski, lat 84. **LIBERCOURT:** Leon Roszak. **NOYELLES-sous-LENS:** Maria Kortus z domu Macioszek. **HARNES:** Ewa Małyszka z domu Ilksa, Józef Moskała. **LENS:** Stanisława Woźna z domu Wieczorek. **DOURGES:** Henryk Wasilewski. **MONTIGNY-en-GOHELLE:** Jan Ciczora. **ST. ETIENNE:** Maria Reich z domu Afelska, lat 84. **ISBERGUES:** Michał Będzioch, lat 63. **BÉTHUNE:** Antoni Szymański, lat 55.

Rodzynom Zmarłych składamy serdeczne wyrazy współczucia.

Rozrywki umysłowe



Rozwiązanie szyfrogramu z nr 7

KSIAZKA POLSKA — NAJWIERNIEJSZYM PRZYJACIE-
LEM I NAJLEPSZYM NAUCZYCIELEM OJCZYSTEJ MOWY
W KAŻDYM POLSKIM DOMU.

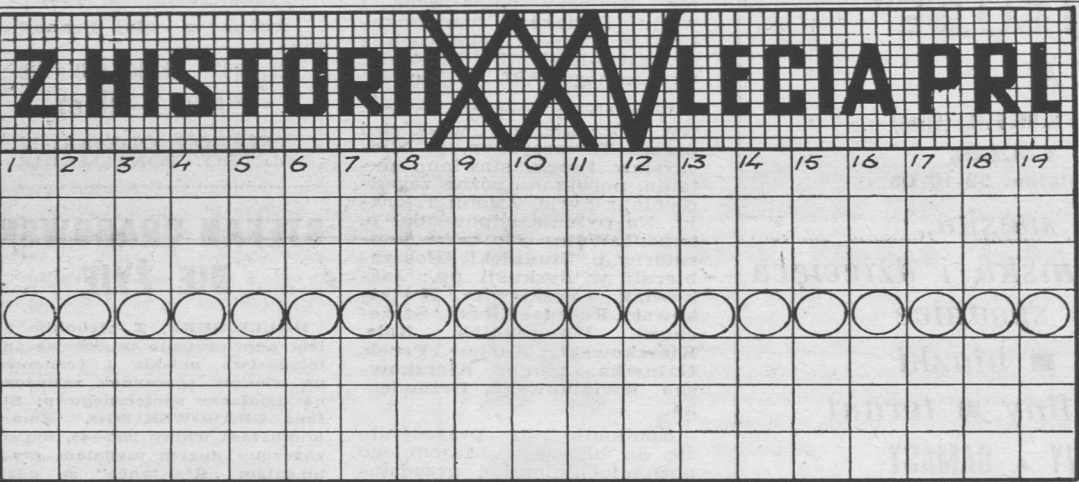
KLUCZ POMOCNICZY: misja, lej, maj, stryj, kijek, szyny,
życie, jeź, cywil, menu, dąsy, molo, nosze, lek, mimika, szu-
wary, pompa, czad, cap, zlew, pomnik.

KOŁÓWKA

Do podanej figury prosimy wpisać w kierunku odśrodkowym 13 wyrazów 6-literowych o poniższych znaczeniach i wspólnej dla wszystkich wyrazów początkowej literze „K” wpisanej w środku koła. Litery, które się znajdują w polach o podwójnej ramce, czytane w kierunku strzałki dadzą hasło zadania.

ZNACZENIE WYRAZÓW:
1) legendarny założyciel Krakowa, 2) eskorta ochronna, straż, 3) przyganiał garnkowi a sam smoli, 4) cyklista, 5) biuro fabryki, kancelaria, 6) tężyzna fizyczna, siła, 7) bociani koncert, 8) kupno towarów na dług, na rachunek, 9) półfabrykat do wyrobu kapeluszy, 10) zasłona z grubej tkaniny, portiera, 11) ciało niebieskie z długim, świecącym ogonem, 12) ktoś spokrewniony, bliski związkowo rodzinnym, 13) rodzaj klubu lub dom gry.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesła bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane NAGRODY KSIĄZKOWE.



LOGOGRYF

Prosimy odgadnąć 19 wyrazów 7-literowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać je pionowo do odpowiednich kratek rysunku mając na uwadze, że początkowe litery wszystkich wyrazów są jednakowe. Litery, które się znajdują w polach z kółkami, czytane poziomo dadzą hasło zadania.

ZNACZENIE WYRAZÓW:
1) koński „but” szczęścia, 2)

zmiana na lepsze, 3) upominek, prezent, 4) rozkładanie kart zwykle połączone z wróżbą, 5) polski taniec narodowy, 6) fałszywe oskarżenie, oszczerstwo, 7) robak używany w lecznictwie do wysysania krwi, 8) nie ma nic wspólnego z wiatrakami, 9) lekceważąco o lichej strzelbie, 10) wyrób, wytwór, artykuł konsumpcyjny, 11) przedpołudniowy seans filmowy lub koncert, 12) odmiana fortepianu, 13) okazywanie lekceważenia innym oparte na

poczuciu własnej wyższości, 14) materac wypełniony pierzem, 15) chłopak na posyłki w hotelu, 16) rzeka, która wpada do Wisły w obrębie Krakowa, 17) Towarzystwo Łączności z Wychodźstwem, 18) okazałe drzwi dwuskrzydłowe, 19) siódła, samotrzask, łapka.

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE
23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20.76 Paris

34/7 rue Chauteur-Lodelinsart
Mme Ol. Kuc
C.C.P. 66.69.45 Belgique
Cena prenumeraty:
kwartalnie: 7 F. — 70 Fr. B.
półrocznie: 12 F. — 120 Fr. B.
rocznie: 20 F. — 210 Fr. B.

Président Directeur
Général: Danuta
JAGOSZEWSKI Bienaimé

IMPRIMERIE
Zakłady Graficzne „Tamka”,
Zakł. nr 1, Varsovie, Tamka 3.

PRZECIWIW BLASKOWI

Blask, powstający przy spawaniu, jest silniejszy od światła słońca, oglądanego bezpośrednio. Z tej przyczyny spawacze noszą zazwyczaj niebieskie okulary. Są one niezbyt przyjemne w użyciu i zniekształcają obraz świata. Dlatego specjaliści pewnej firmy francuskiej radzą zastąpić niebieskie szkła wirującymi dyskami z wyciętą wąską szczeliną. Będzie ona odkrywała pole widzenia jedynie na krótki moment, przepuszczając do oka znikomą porcję światła — wystarczającą jednak do swobodnego widzenia w naturalnych kolorach.

KOMISJA MORSKA

Było to pierwsze w Polsce ministerstwo żegluga, powstało zaś dość wcześnie, bo w 1568 r. Powołał je do życia król Zygmunt August dwoma aktami wydanymi w Knyszynie. Tzw. „Komisja Morska” miała kontrolować handel bałtycki i zwalczać kontrabandę. Dysponowała okazałymi dochodami: z zamku malborskiego i jego posiadłości, z królewskiego szkała wirującymi dyskami z wyciętą wąską szczeliną. Będzie ona odkrywała pole widzenia jedynie na krótki moment, przepuszczając do oka znikomą porcję światła — wystarczającą jednak do swobodnego widzenia w naturalnych kolorach.

Jak dowodzą historycy, właśnie na tych pionierskich poczynaniach opierali się później twórcy koncepcji morskich z XVII w., uwieńczonych naszym zwycięstwem pod Oliwą. (K)

TV DU 9 AU 15 MARS

PREMIERE CHAINE.

TELE-MIDI — 13.00, TELE-SOIR — 20.00, TELE-NUIT — à la fin du programme.
ACTUALITES REGIONALES — 19.20 (sauf le dimanche).
MIDI-MAGAZINE — 12.30 (sauf le dimanche).
CONTACT — 18.22 (sauf mercredi et dimanche).
TEUF TEUF — 18.30 (sauf le dimanche).
AGLAE ET SIDONIE — 19.15 (sauf le dimanche).
ALLO POLICE — 19.40 (sauf samedi et dimanche).

DIMANCHE 9 MARS.

8.55. Télé-Matin.
12.00. La séquence du spectateur.
13.15. Entre hier et demain.
14.00. Cavalier seul.
14.30. Télé-Dimanche avec Hugues Aufray.
17.25. „Rires et frissons de papa” — un film de R. Youngsen avec Charlie Chaplin.
19.30. „Fortune” nr. 2.
20.55. „Françoise ou la vie conjugale” — un film d'André Cayatte — 1ère partie (Marie-José Nat, Jacques Charrier).
22.30. La Comédie Française vous propose: „La quête du honneur” aujourd'hui: De Voltaire à Paul Claudel, Réal, Maurice Beuchey.

LUNDI 10 MARS.

15.05. Cyclisme: Course Paris-Nice.
15.30. Mondovision: Opération Apollo 9 — commentaire Jacques Sallbert.
18.45. Magazine féminin.
20.30. Face au problème — actualité télévisée.
21.20. „Jean-Marc ou la vie conjugale” — film d'André Cayatte — 2ème partie.

MARDI 11 MARS.

13.30. Je voudrais savoir.
15.45. Cyclisme: Course Paris-Nice.
18.45. Eché au hasard — une émission de Jean Yanovsky.
20.30. „Agathe ou les mains vides” — un film de Pierr Cardinal.

MERCREDI 12 MARS.

18.45. Cadences.
20.30. Eurovision: Football — Angleterre — France.
21.30. Le quart d'heure de...
21.45. Journal de voyage en Pologne nr 4 — „Requiem contre l'oubli: Auschwitz” — une émission de Jean-Marie Drot.

JEUDI 13 MARS.

15.20. Emissions pour la jeunesse.
15.45. Cyclisme — course Paris-Nice.
16.40. Emissions pour la jeunesse.
18.45. Lire et comprendre.
20.30. Panorama.
21.30. „Mannix”.
22.15. Variétés.
22.45. „Monument” — un court métrage suédois.

VENDREDI 14 MARS.

18.45. Loisirs tourisme.
20.30. Variétés — clin d'oeil.
21.15. Forum jeunesse (les rapports parents-adolescents).
22.15. Emission musicale.

SAMEDI 15 MARS.

15.45. Cyclisme — course Paris-Nice.
17.50. Le Petit Conservatoire de la chanson.
18.45. Les trois coups.
20.30. „Les aventures de Tom Sawyer”.
21.15. La Bataille de Moscou.
22.45. Jazz.

DEUXIEME CHAINE — COULEUR.

(C) — couleur, (CN) — couleur et noir et blanc. émissions sans aucune mention sont exclusivement en noir et blanc.
TELE-SOIR-COULEUR (C) — 19.40.
TELE-SPORT (C) — 19.55.
MINI-PROGRAMMES DU SERVICE DE LA RECHERCHE (C) — 20.30 (sauf samedi et dimanche).

DIMANCHE 9 MARS.

15.00. (C) L'invité du dimanche, aujourd'hui: Maître René Floriot.
20.00. (C) Annie, agent très spécial.
20.55. „Jean-Marc ou la vie conjugale” — film d'André Cayatte.
22.30. (C) Variétés: „L'ecorcoblisse”.

LUNDI 10 MARS.

20.00. (C) Monsieur Cinéma.
20.40. Démon et merveilles.
21.20. „Françoise ou la vie conjugale” — film d'André Cayatte.
23.15. (C) On en parle...

MARDI 11 MARS.

20.00. (C) „Yao” nr. I „Le petit Homme”, scénario, dialogues et réal. Claude Vermorel.
20.40. (C) Regie 4 — actualité télévisée.

MERCREDI 12 MARS.

19.40. Eurovision: Football Angleterre — France.
20.55. (C) Les dossiers de l'écran.

JEUDI 13 MARS.

20.00. (C) Le mot le plus long.
20.40. (C) Variétés publiques.
21.40. Bibliothèque de poche.
22.40. (C) On en parle.

VENDREDI 14 MARS.

16.00. Eurovision: course cycliste — Paris-Nice.
20.00. Cronique cinéma.
20.40. (C) „Appelez-moi rose” — un inédit pour la Télévision, réal. Youri.
21.50. (C) Gala du MIDEM.
22.40. (C) On en parle.

SAMEDI 15 MARS.

10.00. (C) Eurovision: championnat du monde de hockey sur glace — Tchecoslovaquie — Canada.
14.55. (C) Eurovision: rugby — Tournoi des cinq nations — Angleterre — Ecosse.
20.00. (C) La règle de cinq.
21.00. (C) Les reines du music-hall, réal. G. Barrier.
22.10. (C) „Les précieuses ridicules” — comédie de Molière, réal. J. Pignol.

RADIOODBIORNIKI — TELEWIZORY

■ Lodówki, maszyny do prania i inne artykuły

gospodarstwa domowego ■

LENG-PICARD ET C-IE

16, Place de la Liberté; 423, rue de Lannoy

Telefony; 73.39.43, 73.29.47

ROUBAIX (Nord)

Le dernier film produit par Andrzej Wajda, le grand nom du cinéma polonais, est intitulé „Wszystko na sprzedaż” ce que nous pourrions traduire par „Tout est à vendre”. Ce film de fiction peut être cependant considéré comme une sorte de document retraçant la création d'un film par un grand metteur en scène. C'est également un portrait sociologique du milieu artistique si compliqué, si riche et aussi si mesquin. Cela rappelle un peu „Huit et demi” de Fellini, car là aussi, il s'agit de présenter le travail des personnes sans lesquelles aucun film n'est faisable. Ce film est très polonais, les nombreuses allusions tombant de la bouche des acteurs ne sont compréhensibles que dans un climat polonais. A moins que les spectateurs étrangers aient de l'imagination... Car il ne fait aucun doute que la dernière image de Wajda envahira, tout comme les précédentes, les écrans du monde entier. C'est en effet un film qui doit passionner tous ceux qui aiment le cinéma polonais, il retrace en bref la moitié de l'histoire de celui-ci après la guerre.



Andrzej Łapicki w trudnej roli Reżysera



Reżyser usiłuje znaleźć formułę nowego filmu, w którym postać Aktora pojawi się w relacjach i wspomnieniach bliskich mu ludzi. Odwiedza zaprzyjaźnionego z Aktorem pracownika technicznego (Wiesław Dymny), który podczas zdjęć (do Pana Wołodyjowskiego) opowiada o scenariuszu napisanym kiedyś przez Aktora

WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ

LEN film mógł powstać tylko i wyłącznie w Polsce, w Warszawie, na przełomie 1967 i 1968 roku. Mówią o tym nie tylko aluzje do wydarzeń czy ludzi, ale przede wszystkim o brzo stanu umysłów środowiska uchwycyony kamerą artysty.

Jest więc „Wszystko na sprzedaż” dokumentalnym nieomal obrazem procesu powstawania filmu, obrazem stanu ducha artysty, który wie, że niedoskonałość środków artystycznych i technicznych stojących do jego dyspozycji — a także ograniczenia, jakie stawia przed nim jego umiejętność — nie będą w stanie oddać w gotowym dziele tego wszystkiego, co sobie wymarzył.

Jest to także socjologiczny portret środowiska artystycznego, jego stylu bycia, jego problemów, rozrywek i pracy, a także fascynujący portret środowiska artystycznego „kibiców” i „pasożytów” żyjących w cieniu wielkiej sztuki. Można się w tym obrazie dopatrzeć satyry, zwłaszcza gdy się dysponuje personalnym kluczem pozwalającym rozszyfrować prawdziwe osoby.

Te dwa aspekty filmu zrozumie i oceni każdy widz odbierający film jedynie naskórkowo, nie wnikać w podteksty, w filozofię dzieła. I będzie chyba zadowolony. Satisfakcję sprawi mu podziwianie piękna barwnej fotografii, cudownie płynnego montażu i wspaniałej gry zespołu doskonałych aktorów.

No, ale takich filmów było wiele i nie w tym leży wartość filmu Wajdy. Widzowie uczuleni na problemy techniki reżyserskiej wysoko cenią kompozycję „Wszystko na sprzedaż”. W końcu bowiem można przyjąć ten film jako opowieść o kimś, kto przez cały czas nie pojawia się ani na moment na ekranie, kto żyje wyłącznie w opowieściach, uczuciach i wspomnieniach swego otoczenia, a który — dzięki sugestywnej sile przemawiania filmu — staje się dla nas w końcu postacią w pełni realną. Tego rodzaju zabieg przeprowadził przed 30 blisko laty Orson Welles w swym słynnym filmie „Obywatel Kane”; tam jednak bohater tytułowy ukazywał się naszym oczom, tylko jego obraz zmieniał się zależnie od tego, czyimi patrzyliśmy oczami.

Owym nie istniejącym realnie bohaterem „Wszystko na sprzedaż” jest Aktor, który ma grać główną rolę w filmie Reżysera przystępującego właśnie do pierwszych zdjęć. Aktor nie stawia się na planie i rozpoczynają się gorączkowe poszukiwania. Szuka go Reżyser, szuka jego żona Elżbieta, szukają inni członkowie ekipy. W końcu zagadka nieobecności się wyjaśnia: Aktor nie żyje! Zginął w tragicznym wypadku kolejowym.

Tragedię tę rozmaicie przeżywają bohaterowie filmu. Żal po śmierci kogoś, kogo się kochało i podziwiano, nie zawsze jest szczerzy i bezinteresowny. Na przykład dla Reżysera ta śmierć jest przede wszystkim tragedią osobistą. Wraz ze śmiercią Aktora rozwiewają się nadzieje na nowy, wielki film. Kiedy patetycz-

nym gestem rzuca do grobu maszynopis scenariusza — wyczuwamy w tym jakiś ukryty wyrzut: dlaczego mi to zrobiłeś? Dla młodziutkiej dziewczyny, która była ostatnią osobą, z którą Aktor rozmawiał — ten wypadek stał się nieoczekiwaną okazją zrobienia kariery: jest przez moment ważna, przez moment na nią padają światła reflektorów... Jest jeszcze ktoś inny: jest młodziutki aktor, który przez całe lata żył zafascynowany urokiem Tamtego, który marzył o dorównaniu Tamtemu, a który dziś stał się nagle Następcą. Co czuje, co myśli ten człowiek, którego z jednej strony szansa wybicia się popycha do eksploatawania podobieństw, do kontynuowania mitu zbudowanego przez Tamtego, a z drugiej strony chęć potwierdzenia własnej tożsamości pcha w kierunku wręcz przeciwnym.

Dochodzimy do najistotniejszego problemu filmu „Wszystko na sprzedaż”: do próby określenia związków pomiędzy twórcą i dziełem. Wajda obnaża do końca tajniki procesu tworzenia. Pokazuje, jak życie przefiltrowane przez pryzmat umysłu i serca artysty znajduje swój nowy kształt w dziele sztuki. Patos i cynizm sąsiadują tu z sobą bezpośrednio, są często dwoma stronami tej samej rzeczywistości. Nie ma żadnej granicy pomiędzy życiem osobistym artysty, a jego dziełem. Każdy z bohaterów filmu doświadcza tego samego. Nie ma nic własnego: wszystko na sprzedaż! Jest w tym stwierdzeniu wielka gorzyc i wielka, usprawiedliwiająca szczerość.

Bowiem Wajda tworząc swój film, w którym jak mało kto przed nim zgłębił psychologiczne tajniki tworzenia, musiał pójść tą właśnie drogą. Musiał sprzedać siebie, swoje myśli, uczucia, wspomnienia. Sprzedać dzieje swej współpracy ze Zbyszkiem Cybulskim — bo on to jest owym nie wymienionym nigdy z imienia Aktorem i jego tragiczna śmierć stała się impulsem twórczym tego filmu. Wszyscy w tym filmie sprzedali jakąś część siebie, jak ów przyjaciel zmarłego, który z ekranu protestuje przeciw tego rodzaju wyprzedazy — i protest ten sprzedaje filmowi.

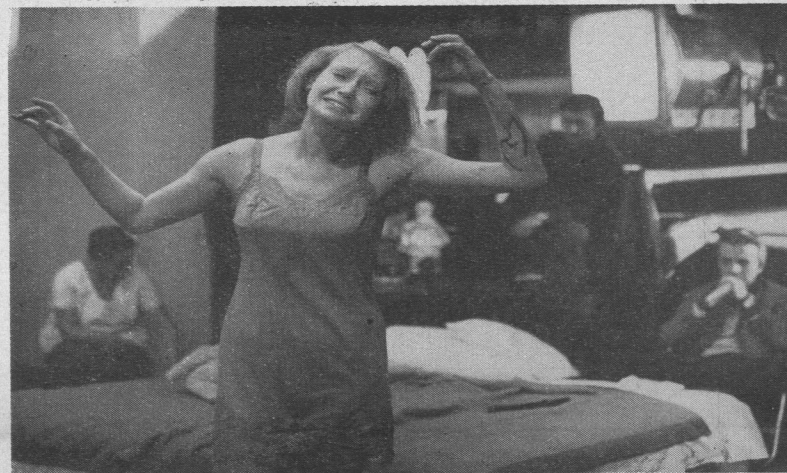
Film mówi: tacy jesteśmy, sądzcie nas i rzućcie kamieniem, skoro się uważacie za lepszych. Taka jest nasza praca, taką cenę płacimy za przywilej tego, że się jest artystą, za uwielbienie tłumów, za zaszczyty i honory. Nie mamy nic własnego.

Wszystko na sprzedaż...

Oskar SOBAŃSKI



Młody aktor, Daniel (Daniel Olbrychski) w noc po pogrzebie Aktora rozmawia o perspektywach swej kariery z Asystentem Reżysera (Witold Holtz). Scena ta jest reminiscencją słynnej rozmowy Maćka Chełmickiego z Andrzejem Kosseckim w „Popiele i diamentach” Wajdy



Mimo nieobecności Aktora Reżyser kontynuuje zdjęcia. Elżbieta, żona Aktora (Elżbieta Czyżewska), podczas próby do sceny, w której usiłuje popełnić samobójstwo

Pierwsza sekwencja filmu: Reżyser (Andrzej Łapicki w środku) próbuje finałową scenę swego filmu, którego bohater zginąć ma w wypadku pod kołami pociągu



HUMOR po polsku

ZIMA JESZCZE TRWA



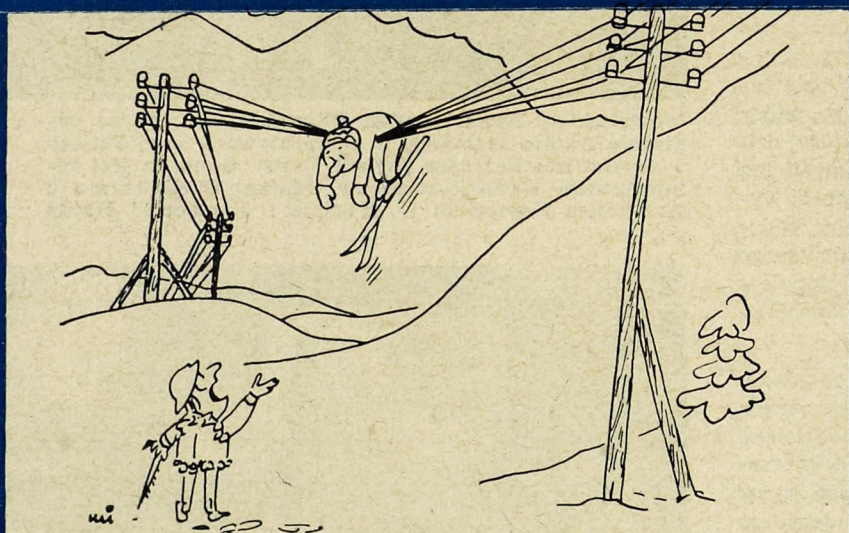
— Ale żeśmy się zaga-
dały.

— Cela fait plaisir de
pouvoir discuter tranquil-
lement.

„Dziennik Bałtycki”

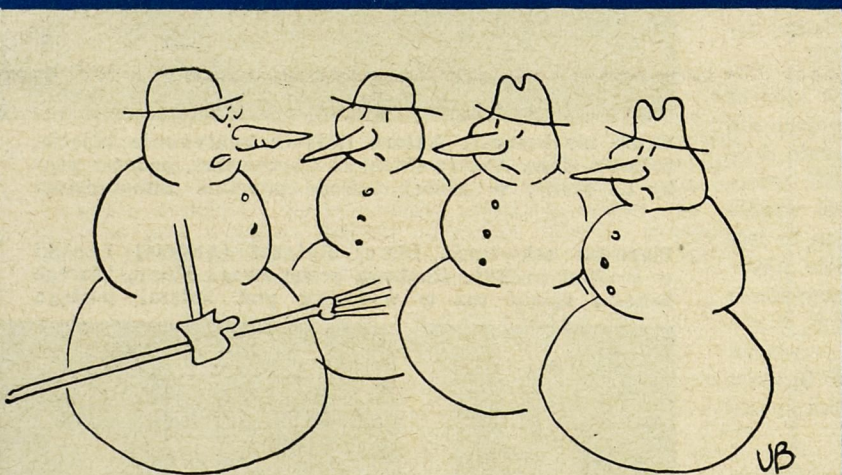


— Panowie, prędej.
— Messieurs, travaillez plus vite..
„Swiat”



— Jak już tam, panocku, siedzi-
cie, to se zatelefonujcie do Zakopa-
nego po pomoc!

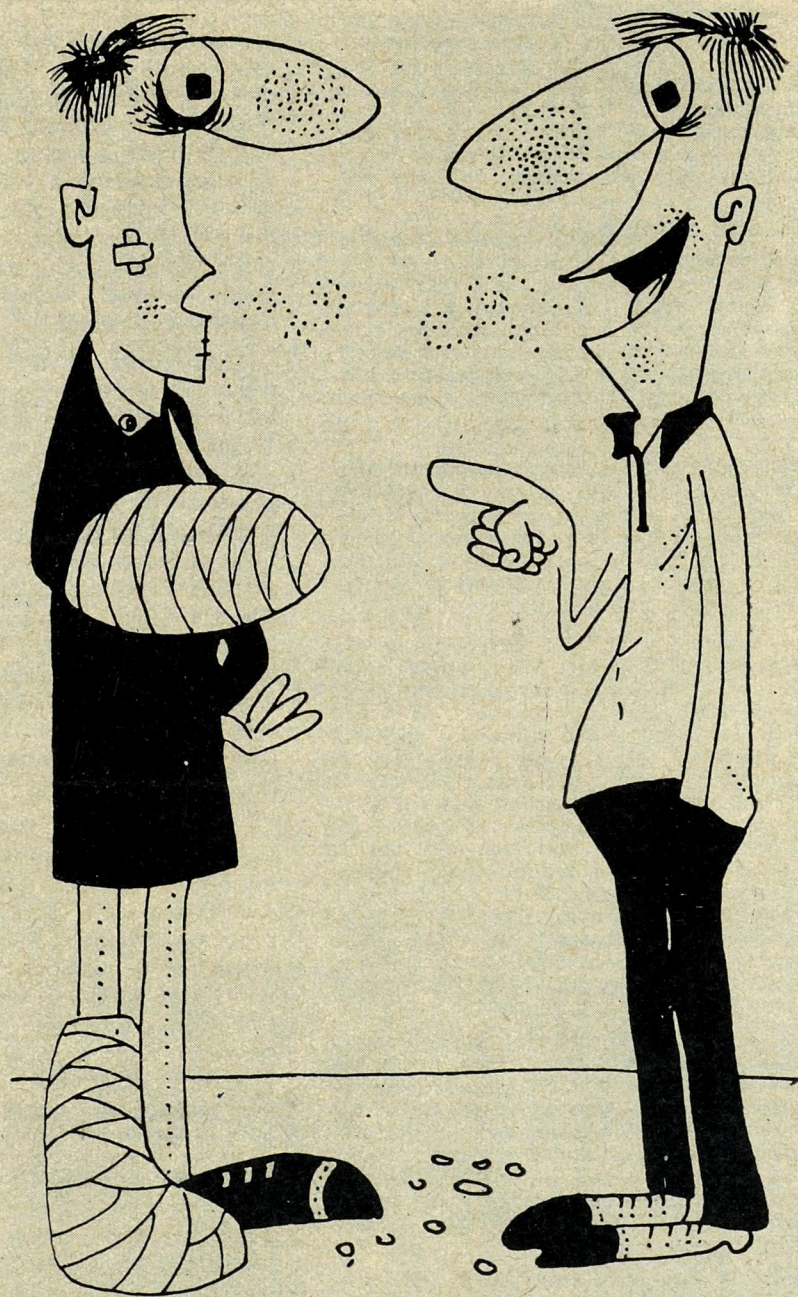
— Puisque vous êtes sur la ligne,
demandez aux sauveteurs de Za-
kopane de vous donner un coup de
main!
„Express Wieczorny”



— Który z Was powiedział, że ja
jestem największy?

— Qui a dit que j'étais le plus
grand?

„Tygodnik Powszechny”



— Zakopane?
— Nie, żona o jeden dzień wcześniej wróciła z urlopu.
— Fractures importées de Zakopane?
— Penses-tu, c'est ma femme qui est rentrée à la maison un jour
plus tôt que prévu....
„Kamena”